

DZIEJE IDEAŁU.

POWIEŚĆ

Jana Zacharyasiewicza.

(Ciąg dalszy).

XXXVII.

Marzec.

Nie omyliłem się, mój zacny przyjacielu, że w tym liście więcej ci doniosę.

Pisałem ci przed dwoma dniami, że postanowiłem pójść dzisiaj do marszałkowej. Otóż około godziny dziewiątej puściłem się w drogę. Przyznasz sam, że w taką drogę nie idzie się z próżną głową. Mimowoli pochyla się ona ku ziemi, a oczy prawie nic przed sobą nie widzą. Czas nawet i przestrzeń tracą wtedy swoje prawa i przymioty i według wewnętrznego naszego usposobienia zdaje nam się raz że zaprędko biegną, drugi raz, że leniwo się ciągną!

Jakoś zbyt niespodzianie stanąłem przed mieszkaniem marszałkowej. Przestrzeń dosyć znaczną przebiegłem w nadzwyczaj krótkim czasie. Sam nie wiedziałem jakim sposobem to staćby się mogło.

Ale przestrzeń i czas nie zmieniły się wcale, zajęta tylko marzeniem wyobraźnia skróciła je. I to też było powodem, że nie spojrzałem wcale na okna mieszkania marszałkowej, któreby może odradziły mi wejść do salonu.

Nie spojrzałem jednak i śmiało wszedłem. Przedpokój nie był zamknięty, w przedpokoju nie widziałem żadnego służącego. Nie zwracałem uwagi na ciszę, która wszędzie panowała. Ale w końcu byłbym może spostrzegł, że nie w porę przyszedłem i tak samo niepostrzeżenie cofnąłbym się, jakem przyszedł, gdybym w téj chwili nie był usłyszał owego dobrze mi znanego głosu Jowity.

To rozstrzygnęło o losie dzisiejszego wieczoru. Chwycałem za klamkę do salonu.

Mimo widoku téj, którą obaczyć pragnąłem, zmieszałem się nie mało. W obszernym bowiem salonie było prawie ciemno. W jednym tylko rogu świeciła się mała lampka i oświecała niewyraźnie trzy kobiety.

Na swoim starożytnym fotelu siedziała marszałkowa daleko bledsza, niżeli przed tygodniem. Była owinięta grubym szalem. Koło niej po prawej stronie siedziała ciotka Jowity, a w najbliższym sąsiedztwie ciotki, pochylona nad stołem przypatrywała się Jowita jakimś obrazkom.

Pozwól mi tutaj jako malarzowi uczynić uwagę, że prześliczna ta grupa była jakby do malowania. Różnice wieku, oświetlenia, i wyrazów twarzy, były jakby naumyślnie artystycznie ugrupowane. Postać marszałkowej z malowniczą draperyą miękkiego szalu, z tą twarzą poraną bruzdami wspomnień dobrych i złych godzin życia, wyobrażała uchodzącą z przed naszych oczu przeszłość. Ciotka Jowity z twarzą powszednią, nieco podstrojoną, z apatycznym wejściem przed siebie, była niejako obrazem dzisiejszych czasów, stojącym na rozdrożu między przeszłością, która w rogu obfitości trzyma dla nas najskrytsze i najrozkoszniejsze marzenia nasze!... Jowita była tą przyszłością!...

Przyjście moje zwróciło uwagę wszystkich kobiet. Marszałkowa spojrzała na mnie dosyć obojętnie. Sąsiadka jej okazała nieco zadziwienia. Po twarzy Jowity przemknęło na chwilę jakieś żywsze światło; szybko jednak zwróciła się znowu do rycin, które oglądała.

Teraz nadeszła chwila dla mnie nader przykra. Widziałem po zaniedbaném oświeceniu reszty pokoi, że dzisiaj u marszałkowej nie było żadnego większego wieczoru. Cofnąć się już nie mogłem, a każdy krok mój naprzód był krokiem po cierniach.

Kłopot mój rósł z każdą chwilą. Siliłem się na jakąś extazę, szukałem słów jak najlepszych, ale żadne słowo nie chciało być pierwszym. Czulem jak się mieszają i biją między sobą, nie mogłem już nad nimi zapanować. Dziwny chaos zrobił się w mojej głowie, do czego nie mało przyczyniło się to, com widział!

Zdaje mi się, że najbardziej moje zakłopotanie zrozumiała i podzielała Jowita. Twarz jej ożywiała się coraz więcej. Podniosła z wolna od obrazków swoje oczy i z pewnym niepokojem spojrzała na marszałkową. Oczy te zdawały się śledzić usposobienie gospodyni i wyrażały chwilami jakąś niemą prośbę...

Pani marszałkowa oczekiwała dosyć obojętnie mego zbliżenia się do stolika. Gdy to nastąpiło ozwała się do mnie:

— Przepraszam pana — że służący mój nie mógł obejść wszystkich tych, którzy łaskawie mnie odwiedzają, z wiadomością, że dzisiaj nie czuję się zupełnie na siłach przyjąć u siebie liczniejsze towarzystwo. Niech to jednak pana bynajmniej nie alteruje, że nie wiedząc o tém, zastałeś pan nas przy małej lampce. Gdy nam światła więcej potrzeba będzie, to się znajdzie. Do tego jeszcze mam panu do powiedzenia, że przychodzisz tak w porę, jakbyś wiedział o tém, że panna Jowita w téj chwili pańskie nazwisko wymówiła. Siadaj pan przy nas!

Wyznam ci, że w téj chwili bardzo źle się znalazłem. Zamiast zażądać od marszałkowej, aby mnie sąsiadkom swoim przedstawiła, usiadłem według rozkazu w milczeniu, bo jeszcze żadne słowo przez usta wyjść nie chciało. Zresztą rozmawiając w galeryi z ciotką i Jowitą, zdawało mi się, że jestem już tak dawnym ich znajomym, jakbyśmy beczkę soli wszyscy troje z sobą zjedli!

Nastąpiła cisza i milczenie złowieszcze, krótko trwała, lecz dla mnie była wiekiem męczarni. Czulem niestosowność tego milczenia, wiedziałem że ta pauza była zostawiona dla mnie, abym w niej dał słyszeć głos swój. Ale nie wiem jak się to stało, że w téj chwili nie mogłem ani jednego słowa znaleźć.

Niech ci to służy za miarę wrażenia jakiego w téj chwili doznawałem. Serce kobiety zazwyczaj odgaduje co to mil-

czenie znaczy i skrycie tryumfuje. Tylko człowiek obojętny jest zawsze przytomny!

Czy Jowita odgadła to milczenie, czy jój serce uderzyło żywiej na tryumf swój? Nie wiem.

Nieodrywając oczu od rycin, ozwała się pierwsza:

— Opowiadałam właśnie pani marszałkowej. w jak dziwny sposób poznałyśmy pana!

— Że dziwny sposób to prawda—zanważyła ciotka— ale to niech będzie moja Jociu, nauką dla ciebie!

— Nie mogę się domyślić téj nauki — odparła z małym kaprysykiem Jowita — wyjawszys jeźli pan się na mnie rozniewał! Ciocia uważa to już za główną wadę, jeźli się jest szczerą i otwartą!

— Staję po stronie pani — ozwał się — bo dla czegoż nie wypowiedzieć tego, co komu korzystać przynieść może? Trzy tygodnie pracowałem nad tą kopją. Wiedziałem że coś jój brakuje. Ale oko moje było już tak zmęczone, tak się wpatrywało w ten obraz i przywykło do wszystkich jego błędów, że tego braku w żaden sposób odkryć nie mogło. Właśnie zastałaś mnie pani w chwili rozpaczys, kiedy już zamierzałem rozedrzeć całe płótno, aby się daremnie więcćj nie męczyć! Pani przyniosłaś świeże oko i odrazu dostrzegłaś błąd... Przez oko pani zobaczyłem i ja, a dzisiaj poszedłszy za radą pani, sądzę, że nie znalazłabyś pani między kopją a oryginałem żadnćj różnicy. A to jest wyłącznie zasługą pani. Nie uważając siebie za wyłącznego autora téj pracy, nie położyłem nawet na tym obrazie mego monogramu.

Oczy Jowity ożywiły się, oderwały się od rycin i spoczęły chwilę na mojęj twarzy.

— Przyznajesz mi pan za wiele — odparła — słowo a wykonanie to dwa wyrazy, stojące daleko od siebie!

— Ale się wzajem dopełniają! — dorzuciłem patrząc w te piękne, szafirowe oczy.

Coś zadrgnęło w tych źrenicach, przesunęła się po nich jakby mała iskra elektryczna.

— Pan nie zawsze kopjujesz? — zapytała po chwili milczenia zwracając oczy na ryciny.

— Nie, pani — odpowiedziałem szybko, bo drobna próżność moja kazała mi szybko odpowiedzieć na to pytanie.—

Nie kopjowałem prawie nigdy, wyjąwszy gdy byłem w akademii, tylko w tej chwili chciałem jak leniwy uczeń stworzyć sobie rodzaj feryi, i kilka obrazów lepszych z tutejszej galeryi skopiować.

— Widzi ciocia że miałam słuszność — rzekła na to Jowita z jaśniejszym spojrzeniem.

Nie zrozumiałem tych słów, bo wiązały się one do czegoś, co mi było nieznanem.

Ciocia ruszyła się na krzesło, aby tym ruchem pokryć niejako zakłopotanie, w jakie wprawiła ją w tej chwili Jowita, która odegrała jak się zdaje, rolę najprawdziwszego *l'enfant terrible!*

Mimo wiedzy może, przyszła jej w pomoc pani marszałkowa. Czy nie była usposobioną do prowadzenia lub słuchania rozmowy treści estetycznej, czyteliż miała z ciocią co na osobności do pomówienia, czy wreszcie, jak się to zazwyczaj dzieje, chciała obecność moję w jaki korzystny sposób dla swojej faworytki spożytkować: dosyć, że pociągnęła za sznur wiszący przy niej, i odezwała się do wchodzącego służącego:

— Zaświecić dużą lampę i postawić tam na okrągłym stole!

A zwróciwszy się do nas, mówiła dalej:

— Tam na stole jest ładny zbiór sztychów. Nieboszczyk mąż mój bardzo się w tém lubował. Tam znajdziesz pan bardzo wiele ciekawych i cennych rzeczy. Jowita, która za podobną zabawą przepada, odniesie może jaką korzyść z tego, jeżeli te sztychy razem z panem oglądać będzie!.... A ja tymczasem przeczytam cioci kilka listów, które mi ją ubawię. Jeden z nich jest od niepoprawnego mego kuzynka z Paryża, który na wszystkie moje listy był nieczuły, dopiero na ten telegram (tu pomilezała chwilę patrząc na Jowitę) raczył odpowiedzieć, że chorą stryjenkę odwiedził!

Słowa te były mi trochę nie jasne. Spojrzałem po wyjaśnienie na Jowitę. Twarz Jowity była tak obojętną na te słowa, jakby ich nie słyszała. Jaśniejszy wyraz siadł na jej czole, gdy służący z lampą przyszedł i na okrągłym stole pomiędzy olbrzymie teki ją ustawiał.

Jowita podniosła się szybko z krzesła: poszedłem za jej przykładem.

Za chwilę siedzieliśmy oboje blisko siebie przy okrągłym stole nad rozłożoną teką sztychów angielskich.

Teraz błogosławiłem przypadkowi, który pozwolił mi być razem z Jowitą w tak małym towarzystwie. Widziałem nawet w przemijającej słabości marszałkowej jakieś dziwne zrządzenie Opatrzności, które pozwoliło mi w ten sposób zbliżyć się do istoty, która z każdą chwilą stawiała się coraz większą potrzebą mego życia...

Jakażby bowiem była różnica, gdyby w tej chwili liczne otaczało nas towarzystwo? Chociaż niezasłużenie ale nie mniej pewnie wielu górowałoby nademną. Tenby błyszczał pożyczanym dowcipem, ów sztuką krawiecką a trzeci tém, że przypadek pozwolił mu urodzić się możliwym i bogatym! Jakieżby miejsce było tam dla mnie? Możeby mnie Jowita znowu tylko pobieżnym wejrzeniem powitała jak przed tygodniem?....

Bądź co bądź, wszystko w tej chwili wytłumaczyłem sobie na moją korzyść. Wierzyłem głęboko, że samo niebo mnie proteguje, że sprowadza przypadki, aby dwie pokrewne dusze zbliżyły się ku sobie i wzajem się poznały!...

Mój Boże! do jakich rezultatów może dojść serce, które szczęścia pragnie!...

Po przejrzeniu kilku sztychów, przy których Jowita bardzo mało pytała, a ja jeszcze mniej odpowiadałem, rzekłem do niej:

— Nie weźmiesz mi pani za złe, jeżeli będę prosił o wyjaśnienie kilku słów wyrzeczonych do cioci....

— Oczekiwałam tego zapytania od pana — odparła. Przyznam się, że mi nawet przykro było, że się pan o wyjaśnienie tych słów nie dopomina. Należy to do charakterystyki naszej, że nie możemy póty mówić, póki nas kto nie zapyta. Jest to najnieznośniejsze niewolnictwo nasze!

— Nie, pani — odpowiedziałem żywo — to jest wyłączną cechą ludzi uprzywilejowanych.

Jowita spojrzała pełném, błyszczącym okiem na mnie. Po chwili uśmiechnęła się i odparła:

— Imieniem moich towarzyszek dziękuję za komplement. Nie wiem coby królowa angielska powiedziała do tak liczного towarzystwa!.. Ale wracam do tych słów, które dla pana były nie zrozumiałe... Powiedziałam że miałam słuszną. Gdyśmy pana z cicią w galeryi przy kopiowaniu Titiana obaczyły, mówiłyśmy idąc do domu o panu. Ja wtedy utrzymywałam, że pan jesteś artystą z powołania a nie amatorem, który w galeryi czasem dla efektu przycho-
dzących, obrazy mistrzów w ułamkach kopjuje.

— Zkąd pani to wnosiła? — zapytałem zadziwiony takim niespodziewanym zwrotem rozmowy.

— Zkąd wnosiłam?—powtórzyła zeicha spuszczać oczy na sztychy—miałam do tego rozmaite powody.

Tu zatrzymała się chwilę. Jój twarz była w téj chwili nadzwyczaj ożywiona. Przemykały po niej jasne smugi jakichś pięknych myśli, które dla mnie miały postać tajemniczą....

— Najprzód — ozwała się — czytałam w jakimś dzienniku o wystawie obrazów, na której był także obraz pańskiej kompozycji; jeśli się nie mylę, przedstawiał on dzieci w ubogiej chacie, płaczące nad zwłokami matki!

Zadziwiły mnie i rozkosznie poruszyły serce moje te słowa Jowity. Był to drobny szkic, rzucony na płótno w przystępie jednego z tych cierpkich momentów życia, których tak często doznaję: są to niejako cierpkie owoce mego osamotnienia na szerokim świecie....

— Jeżeli z tego utworu po raz pierwszy pani mnie poznałaś — odpowiedziałem — to poznałaś mnie pani odrazu z najprawdziwszój mojej strony, to jest co do kierunku myśli i uczuć moich! Nie wiem dlaczego, ale w wyobraźni mojej tworzą się same obrazy najwyższój boleści!

— Bardzo słusznie — pochwyciła prędko Jowita — bardzo słusznie, bo w najwyższój boleści najpotężniój objawia się moc i piękność duszy naszój!

Zdumiałem na te słowa. Patrzałem na nią szeroko otwartemi oczami, bo widziałem w téj chwili jasno całą duszę Jowity. Objawiła się w jasnym spojrzeniu, w ożywio-

nych rysach twarzy i na tém pogodném z dumą podniesioném czole. Była piękna, była wzniosła!...

Kilka chwil trwało milczenie między nami.

— Ani nawet nie przypuścisz pani—rzekłem po chwili z uśmiechem—jak wielce temi słowy zbliżyłaś mnie pani do siebie!

— Ja sędzę, że myśmy się tylko spotkali w zdaniach naszych!—wyszepegnęła z cicha lekko zarumieniona.

Tutaj nastąpiła dłuższa pauza. Nie byłem w stanie w téj chwili nic mówić. Tysiące rzeczy cisnęły mi się do głowy. Czułem jakąś rozkosz z tego natłoku, ale oznaczyć tych myśli, marzeń i uczuć nie mogłem. Było to coś podobnego do gry kolorów w kalejdoskopie. Zachwycają oko, ale ostatecznie ani stałych kształtów, ani kolorów uchwycić nie można!

Jowita przewróciła szybko kilka kartek z teki i zaczęła się z wielką uwagą przypatrywać scenie, gdy Marya Stuart widzi się z Elżbietą. Wymieniliśmy o tém kilka zdań. Po małej pauzie ozwała się:

— Jeszcze winnam panu moją odpowiedź uzupełnić. Przed dwoma tygodniami, jeśli się nie mylę, widziałam pana przy murze brühlowskiej tarasy, patrzącego na zimowy krajobraz.

— Tak jest—odpowiedziałem szybko—przypominam sobie, nader piękne było oświetlenie Elby i mostu....

— To widać było, żeś pan był tym widokiem zachwycony!.... Patrząc na pana pomyślałam sobie, to jest zapewne artysta! Tylko artysta umie tak patrzeć.... i czuje piękność takiego widoku!

— Podziwiam oko pani i zazdroszczę go!.... Chciałbym, abym nieraz w życiu mógł tém okiem patrzeć!...

Jowita przewróciła tutaj machinalnie kilka sztychów i pomyślała chwilę.

— Pan mnie zapewne wtedy nie widziałeś!—rzekła z lekkim ożywieniem twarzy—zapewne, że nie, bo wielu było przechadzających się po tarasie.... Jak to niebezpiecznie jest oddawać się publicznie jakimś uczuciom, nie wiedząc, że ktoś z boku na nas patrzy—dodała z czarującym uśmiechem.

— Czy panią widziałem, pytasz pani?—ozwałem się po chwili namysłu—na to zostawiam odpowiedź samej pani, bo wiem, że mi w tym względzie krzywdy nie wyrządzisz!

Na te słowa spłoneęła Jowita cała jak szkarłat. Szybko pochyliła twarz nad sztychami. Na tece trzymałem właśnie rękę. Twarz Jowity zbliżyła się teraz do mój ręki. Czułem jak biło z niej silne gorąco i dziwnym sposobem rozchodziło się po ręce mojej, szło coraz dalej, jak iskra elektryczna aż do serca! Serce uderzyło mi żywiej i uczułem rozkosz dotąd nieznaną....

W téj chwili wszedł służący z dużą tacą, na której były przybory do herbaty, i postawił ją przed marszałkową. Marszałkowa złożyła okulary, pozbierała listy, i zaprosiła nas do herbaty.

Składając teki ze sztychami, podczas gdy marszałkowa zajęta była swoją towarzyszką, rzekła Jowita:

— Utwory w ogóle sztuki miały dla mnie od dzieciństwa wielki urok. Nie wyobrazisz pan sobie jak zazdrościłam tym wszystkim, którzy są w stanie oddać w sposób plastyczny niejako, wszystkie poruszenia duszy i serca. Musi to być jakaś rozkosz nieopisana widząc jak przed naszym okiem rosną postacie, grupy i widoki, stworzone i wypięszone w duszy naszej!... Powtarzam panu, że niczego tak nie żądzę jak talentu pisarzowi i malarzowi. Jest to najmiłszy sposób spożytkowania czynności duszy!... A cóż pan w takim razie sądzisz o nas, których dusza jest zazwyczaj dosyć czynna?... Oto haftujemy po powietrzu w marnieniach naszych najcudniejsze obrazy, sceny i widoki, tworzymy postacie godne bogów lub najpierwszych po nich bohaterów... i wszystko to marnie przepada! Jeden dzień, może drugi, a nikt tych prac duszy naszej nie widzi!

— Wszak panie możecie tak samo władać piórem, i ołówkiem....

— Nie, panie! Kobieta wicęj nie wymyśli co mężczyzna; a co do ołówka? Próbowałam.... a może pan będzie kiedy ciekawy moje próby obaczyć?... U nas schodzą się zazwyczaj we wtorki.

— Uczynię to jak najprędzej—odpowiedziałem i musiałem na tém słowie poprzestać, bo w téj chwili zaprosiła

nas powtórnie pani marszałkowa do herbaty, która już nas czekała.

I cóż ty na to wszystko, mój drogi przyjacielu? Wiesz, pędzę rozwiniętym żaglem na pełnym morzu. Wzburzone fale unoszą mnie coraz dalej; gdzie zapłynę? — nie wiem! Czy zawitam do cichej przystani, czy o skały piersi rozbiję?

Już dzień szarzyć zaczyna! Lecz dzisiaj odpoczynku nie potrzebuję. Bywaj zdrów!

XXXVIII.

Marzec.

Dziś wtorek. Dziwi cię to zapewne, że piszę do ciebie przed wieczorem. Mam do tego dwa powody: najprzód strasznie długi dzień wydaje mi się dzisiaj, a potem chciałbym ci o drobnej rzeczy donieść, która mi jednak trochę humoru popsuka.

Ponieważ u ciotki Jowity jeszcze nie byłem, chciałem więc przed dzisiejszym wieczorem rzucić jej kartę wizytową. Udałem się w tym celu między pierwszą a drugą godziną do ich pomieszkania.

A byłem właśnie w jednym z tych nieocenionych momentów życia, które dla nas pracujących duchowo, są jedyną rozkoszą i nagrodą za wszelkie trudy i utrapienia. Są to momenta zadowolenia z siebie i z pracy naszej. Są one bardzo rzadkie, ale gdy nadejdą, starczą nam za wszelkie nasze prywacy. W tych momentach czujemy się w pełni naszego talentu, tworzymy najlepsze pomysły, a praca i wykonanie idzie nam łatwo jak zabawa!

Otóż od kilku dni pozdejmowałem ze strychu moje szkice i rozpatruję się w nich. Widzę teraz, czegom dawniej nie widział, i dziwię się, że dotąd byłem ślepy!

A wiesz kto mi tych świeżych oczu pożyczył? Wiesz, kto siły moje rozgrzał i do większego życia pobudził? Wiesz, kto mi nowym światłem oświecił wszystkie te sceny z czasów pierwszego wieku chrześcijaństwa, które pierwój były tak mdłe i ponure?

Wszystko to zdziałała kobieta!

Gdy siłą wyobraźni jęj postać przed siebie powołam, to czuję w sobie nowe życie; nowe, nieznane mi dotąd pomysły eiszną mi się do głowy i nie mam nawet ani czasu ani środków, aby je wszystkie uchwycić i do płótna przytwierdzić!...

I chodzę po świecie uśmiechnięty i zadowolony jak bogacz, który w banku złożył miliony i spokojnie patrzy na gorączkę drobnych spekulantów, którzy kilku groszy tak łakną!...

W takim wytwornym humorze, z uśmiechem na ustach wszedłem w progi Jowity.

Zastałem drzwi w przedpokoju otwarte, chociaż był mróz dosyć spory.

Wstąpiłem na próg. W głębi pokoju obaczyłem młodego człowieka z wielką elegancją ubranego. Był do mnie plecyma obrócony. Cały ubiór jego i sposób noszenia go okazywały zamożność i pewną dystynkcyą, którą niektórzy wyższym stanom przypisują. Jest to po prostu tylko pewne obycie się z ubiorem, który codziennie się nosi i przy którym nie okazuje się uwagi, aby go nie sponiewierać. Kto na ubranie gorzko zapracował, ten najprzód nie ubiera się w każdy dzień wykwintnie, a jeśli się ubiera, to widać po jego ruchach, że ubrania szanuje.

Młody człowiek, którego z pleców widziałem zakrawał na wielkiego pana. Rzucił na stół grubą kartę wizytową z wyciśniętym na górze herbem, a tymczasem kazał sobie służącemu cygaro zapalić. Postać jego, ruchy i ton, jakim do służącego przemawiał, oznaczały niepospolitą pewność siebie. Przytem miał kapelusz na głowie najświeższej paryżkiej mody i szpicrutę w ręku.

— Gdy panie przyjdą, to oddasz kartę natychmiast! — wyrzekł wreszcie i obrócił się.

Poznałem pana Alfreda.

Przyznam się, że sam widok tego człowieka, już mi odebrał połowę mego dobrego humoru; druga połowa miała wkrótce pójść za pierwszą.

— Ach! Jak się pan miewa — zawołał gniotąc cygaro, które się palić niby nie chciało.

— Dziękuję — odpowiedziałem wyjmując kartę z pugilaresu.

— Masz pan jakie wiadomości od Wacława?—pytał dalej zatrudniając ciągle ręce swoje cygarem.

— Wczoraj odebrałem list, ma się coraz lepij!

— Cieszę się bardzo z tego!

— Czy panie są w domu—zwróciłem pytanie do służącego.

Służący zaprzeczył. Rzuciłem na stół kartę obok karty pana Alfreda.

— Czy pan przypadkiem nie uczysz rysunków panny Jowity?—zapytał przez zęby pan Alfred.

— Nie, panie. Byłem tylko z prostą wizytą!—odpowiedziałem trochę gniewnie.

— *Pandonner! Bon jour!*—odrzekł podając mi dwa palce—może się dzisiaj wieczorem tutaj obaczymy? *bon jour!*

— Zdaje się, że będę—odpowiedziałem żegnając go.

I poszliśmy każdy w inną drogę.

Nie wiem dlaczego, ale ta scena fatalnie mnie usposobiła. Straciłem zupełnie humor a w perspektywie staje mi przed oczy jakaś czarna melancholia. Zdaje mi się, że mi ubliżył, choć z drugiej strony, o ile znam świat do którego pan Alfred należy, on tego nie miał na myśli.

Widzę w tém tylko jakieś przypadkowe starcie się dwóch ludzi na odmiennych krańcach wyobrażeń stojących. Mimo to, humoru mego odzyskać nie mogę. Smucę się czegoś, chociaż bez wyraźnego powodu.

Może ciemno-szafirowe oczy Jowity rozpędzą ten smutek?...

XXXIX.

SIOSTRA DO SIOSTRY.

Marzec.

Śpieszę do ciebie z bardzo dobrą nowiną. Pan Alfred przyjechał i był już dzisiaj w południe u nas. Jowita wprawdzie nic jeszcze nie wie, ale zapewne z naszych rozmów z marszałkową coś pochwyciła a reszty się domyśliła. W ten sposób bowiem mogę tylko wytłumaczyć sobie jej radość dzisiejszą.

Przyszedłszy przed obiadem do domu zastałyśmy na stoliku kilka kart wizytowych. Jowita chwyciła je natychmiast i zaczęła czytać. Widać było po jej twarzy, że czytała z pewną gorączką. Zarękawek rzuciła pod nogi, białą szal podeptała i popłamiła.

Wreszcie krzyknęła z radości, zrzuciła kapelusz pod nogi pannie służącej, a sama wbiegła do salonu w szalonych poskokach, jak jej nigdy nie widziałam! Tam zaczęła śpiewać i biegać jak szalona!

Wyobraź sobie, na jednej z tych kart wizytowych, było nazwisko—Alfreda!

Zdaje się że nasza wygrana!

XL.

ALFRED DO EDMUNDA.

Drezno, marzec.

List twój, kochany Edmundzie przeniósł mnie na chwilę między was. Bulwary włoskie, *Maison d'or*, *Peters*, *Vachette*, *Eldorado*, *Alkazar*, *Teâtre de varieté*, *Closerie de Lilas*, wszystko to przesunęło się powoli przed moje oczy z całym czarem tych barw jaskrawych, jakie tylko Paryż układać umie!

A w obec tego postaw grobową ciszę saskiej stolicy! O godzinie dziewiątej nie obaczysz już prawie nikogo na ulicy. Miejsca publiczne zamykają się o tej godzinie, Sasi naciągają szlafmyce i kładą się spać. Gdybyś chciał użyć więcej świata, nie możesz. Teatr jest strasznie poważny, bo familia królewska nie lubi frazesów krótko ubranych. Słowem, nudy, serdeczne nudy! A przecież nie zechcesz, abym ci opisywał familijne wieczorki naszej kolonii i familijne herbatki, na których młode panienki pod okiem matki uczą się trochę pozować, trochę probują swego dowcipu i trochę przyczują się lepszemu pronuncyacyi francuzkiej, którą potem w swojej parafii na trzy mile w około wszystkich parafialnych kawalerów olśniewać będą, aby z nich wybrać sobie „najlepszą partję.”

Otóżto stolica saska! I w niej mam żyć najmniej parę miesięcy! Rozpacz mnie bierze!

W liście twoim nie zapomniałeś wspomnieć mi o *Mlle. Celistine*. Jest to najmiłszy dla mnie ustęp, chociaż biuletyn twój ma dosyć smutną minę.

Piszesz mi, że niezrównana Celestynka po dwókrrotném zapytaniu o mnie przeniosła się do *Caffè anglais* i tam codziennie popija sobie czekoladę *à la bavaroise*, pozwalając jakiemuś Anglikowi admirować swoje czarne oczy. Cóż robić! Powiadają uczeni, że Paryżanki wynaturzają się zupełnie i ubiorem i sposobem życia. A przecież *Mlle. Celistine* jest pod pewnym względem zupełnie w zgodzie z naturą. „*Natura vacuum horvet*”, a Celestynka obaczywszy próżnię w mojej kieszeni przestraszyła się i przeniosła do *Cafe anglais*. Ale mam na nią sposób. Zapewne uda mi się coś wyłudzić od stryjenki, a wtedy na twoje ręce pošlę jęj prezencik, na który jęj czarne oczka bengalskim ogniem się zaświecą! Nie myślę wcale z nią zrywać: powiedz jęj to,

Otóż przypomniawszy sobie te najpiękniejsze chwile życia chciałem na tém list zakończyć, a byłbyś się dziwił nie mało, że ci o moich, czy właściwie mojej stryjenki projektach nic nie piszę.

Potém, co wyżej pisałem, nader smutno wyglądają te projekta. Kiedy o tém pomyślę, zaraz staje mi przed oczy jakieś jarzmo olbrzymie, daleko większe od tego, które ś. p. Jeremiasz nosił na szyi po ulicach Jerozolimy!

Cóż robić, każda rzecz musi się jakoś zakończyć, a ludzie wymyślili, że życie nasze wesołe, musi się kończyć—małżeństwem! Wprawdzie doprowadziliśmy do tego, że wyraz ten „małżeństwo” jest równoznaczący z „pieniędzmi”. Gdy mu tych ostatnich potrzeba, używamy pierwszego wyrazu. I tak dzisiaj wyrazy „miłość” i „posag” zaczynają się plątać i często jedno na miejsce drugiego kładzie się. Wprawdzie poeci sprzeciwiają się tému, ale oni biedacy pod wodę chcą płynąć. Gdzie prąd czasu niesie, tam się opierać nie można! Mówią uczeni, że dawniej słowo „biały” znaczyło „wielki” a słowo „pozór” było to samo co dzisiaj „baczość.” Dla czegożby „miłość” na „posag” przejść nie mogła?.. Zdaje

się, że już dawno przeszła, tylko są między nami świętoszki, którzy jeszcze rzeczy właściwem mianem nazwać nie chcą!...

A przyznasz, jak to uciążliwie jest grać rolę takiego świętoszka, wdychać i oczy spuszczać, dlaczego?... bo druga strona tego wymaga! A daję sto za jeden, że ta druga strona również tylko rolę podobną odgrywał..

Gdy się zbliżysz, to widzisz same etery, mgliste obłoki słyszysz co chwila: serce, dusza, poświęcenie... a pod tém wszystkiém widzisz wzrok trzeźwy, który pyta, patrzy; kto da więcej?

Myśli te nastreścił mi wieczór wczorajszy. Byłem po raz pierwszy u pani*** która ma siostrzenicę przy sobie, pannę jak ją znawcy tutaj cenią wartą kilka kroć. Z ciotką téj panny jest marszałkowa w wielkiej przyjaźni; i jak mi sama to mówiła, w moim interesie.

Wczoraj więc miałem dobrą sposobność przypatrzeć się bliżej pannie Jowicie. Towarzystwo było dosyć liczne. Mogłem zaraz ocenić pannę jako przyszłą gospodynię domu. Przyznam się, że dosyć dobrze wywiązała się z tego zadania. Była dosyć przytomną, zachowała potrzebny w salonie spokój umysłu.

Z twarzy podobną jest do mulatki z Alkazaru, tylko rozumie się, nie umie przyrodzonych wdzięków swoich tak jak tamta spożytkować. Pozuje na kobietę naturalną, i nie źle jest jój z tém.

Ale główka zato przewrócona! *Bas-bleu* najmniejszej parafii polskiej!

Mimo to ma swoje finesiki, czerpane z przeczytanych romansów.

Naprzykład: wie o tém bardzo dobrze, w jakim celu tutaj przyjechałem, bo niepodobna, aby ciotka konferując o tym interesie codziennie z marszałkową, nie jój o tém nie powiedziała. Jednak, gdy wszedłem, przyjęła mnie tak obojętnie, jak każdego innego! W rozmowie nawet krótko mnie zbywała i widocznie szukała czegoś innego i to z pewną ostentacją.

Ale poznałem odrazu, do czego zmierza ta rola wyuczona. Ma to być niejako inwitacya do romansu z przeszkodami! Ucieka po to, aby ją atakować! Odwraca się

i twarz zasłania na to, aby na nią patrzeć! Praktyki te zeszyły już dzisiaj z salonu na bulwary...

Otóż odplaciłem pięknem za nadobne. Rozmawiałem z nią jak najimniej, a za to ofiarą całego mego ataku padła jakaś Galicyanka, która tém się odznacza, że o Galicyi nie wie!

Tymczasem słyszałem jednem uchem Jowitę szemrzącą z jakimś muzykiem frazesami napuszonemi, a z pewnym malarzem z profesyi, „marnotrawnym” i odrodnym bratem naszego nieocenionego „Wacusia” spotrzebować wszystkie wyrazy encyklopedyi sztuki!

Jest w tém niejaka rozkosz, patrzeć jak dosyć ładna kobieta prawdziwe swoje zamiary maskuje!

Mimo tych wszystkich chwilowych alteracyj przyjemnych, smutno jest jednak patrzeć na osobę, której trzeba będzie zapisać większą część naszej wolności osobistej, za pewne wynagrodzenie! Głupi to zwyczaj, ale cóż robić! Poszli inni tą drogą i my nad nią nie będziemy długo medytować. Wprawdzie nie dobrą minę okazują nam ci, co przed nami poszli, ale cóż robić!

Idź do *Mr. Bernard* i powiedz mu, aby nie ważył się jakiego z moich wexli żyrować na czyją firmę z tutejszych lichwiarzy. Są oni nie ubłagani i sadzają zaraz do kozy. Powiedz mu, że się żenię z panną posaźną, a jeśli chce prędzej przyjść do pieniędzy, to może mi jaką pożyczką przyjść w pomoc. *Mlle. Celestin* miałyby tym sposobem prędzej projektowany prezent.

Żegnam was, tęskniąc za wami!

XLI.

SIOSTRA DO SIOSTRY.

Marzec.

Wieczór, o którym ci wspomniałam, odbył się nader świetnie! Jestem przekonaną, że między naszymi dzisiaj cały dzień mówią o tym wieczorze! Nie szczędziłam ani kosztów ani zachodu, aby Jowitę okazać po raz pierwszy panu Alfredowi w jak najkorzystniejszym świetle.

Najprzód pospraszalam bardzo wiele osób, aby przynajmniej było tłumnie. Oprócz zwykłego naszego towarzystwa miałam także kilku gości więcej przypadkowych, którzy jednak wybornie uzupełniali obraz wieczoru na większą stopę. Był muzyk, który z Paryża wraca i tutaj koncert dać zamierza. Po raz pierwszy w moim salonie prezentował się tutejszemu towarzystwu. Dla rozmaitości i to coś znaczy!... Za tę łaskę musiał kilka sztuk na fortepianie odegrać. Mianowicie modne teraz mazurki Chopina bardzo się podobały. Niejaki malarz, który w tutejszej galerii kopiuje, zabawiał nas także opowiadaniem o Rzymie i Florencyi.

Cóż więc chcesz więcej? Mam salon według najnowszej mody!

Jowita była ubrana cudownie! Mówię ci, ona z każdym dniem staje się piękniejszą!

Miała na sobie suknię jedwabną w białe i fioletowe pasy. Gorsecik z fioletowego *poult de soie* ubrany takimże aksamitem i kryształowymi wisiorami. Bluzka muslinowa z gipiurami wyglądała prześlicznie. Włosy miała uczesane *à la Negritine*.

Pan Alfred bardzo długo jęj się przypatrywał. Mówił z nią nie wiele, ale zato wodził za nią nieustannie oczyma. Widziałam po jego twarzy, że mu się podobała.

Ale wyobraź sobie Jowitę! Jaki to rozumek i spryt kobiecy ma ta dziewczyna! Ktoby się był tego spodziewał! Uduje tak prostoduszną i prawdomówną, a wczoraj najlepszą miałam sposobność przekonać się o jęj talenciku. Wczoraj bowiem mogła już wyraźnie widzieć, że pan Alfred nie będzie nam tylko zwykłym, obojętnym gościem. A nawet przed wieczorem zdradziła się nadzwyczajną swoją radością. Gdym jęj powiedziała, że dzisiejszy wieczór przyniesie jęj prawdopodobnie wiele radości, odpowiedziała mi bez ogródki, że to czuje sama najlepiej i że tego bynajmniej przed nikim nie tai!

— Więc się cieszysz że go obaczysz?—zapytałam ją z nienacka.

— Tak jest, cieszę się, że z nim mówić będę—odpowiedziała bez wszelkiego namysłu.

Po takim wstępie ciekawém dla mnie było obserwowanie Jowity przez cały wieczór. Otóż widziałam, że w obec pana Alfreda rozwinęła całą taktykę sztuki kobiecój.

Najprzód przywitała go z wielką uprzejmością, w kilku sekundach roztoczyła przed nim dosyć znaczną część swoich skarbów, a potem podrażniła go nieco dosyć chłodną obojętnością. Całe jój zachowanie się mówiło: ja zrobiłam swoje, powitałam cię; teraz cofam się, a jeżeli się tobie podobam, to chodź za mną!

Ale widać, że i pan Alfred jest mistrzem w dobrej kampanii. Zrozumiał odrazu taktykę Jowity i stosownie do tego natychmiast uszykował się. Zaczął mówić z tym i owym, a nawet komuś tam emablował. Widziałam jednak, jak oko jego wykręcało się zawsze za Jowitą.

Słowem rzecz wybornie rozpoczęta, a reszta sama się złoży!

Podczas całego wieczoru podziwiałam przedewszystkiem Jowitę. Umię ona w salonie doskonale się prezentować.

Wiele na tém zależy, aby kobieta w salonie nie była milczącą. Rozmowa ożywia twarz, wprowadza na nią różną grę światła i w ogóle sprowadza ruch w całą jój postać, co jest zawsze nader korzystném. Otóż chodzi o to, aby sobie stosowne towarzystwo do rozmowy wybrać, to jest takie, aby więcej mówić, niżeli słuchać. Nie należy jednak nie zdradzać podobnym wyborem swoich sympatyj; przeciwnie, wybiera się na to człowieka najobojętniejszego i uważa się go poprostu za manekina, aby przy nim w ruchach i gestach dobrze się wydać!

Tę wyrafinowaną sztukę, praktykowaną często przez Natalkę, pojęła Jowita. Tym razem wypadł los na biednego malarza a poczęści i muzyka, którym przez cały wieczór odetchnąć nie dała!

Voilà! Oto prawdziwa, sprytna kobieta! Nie lękam się o nią, ona wszystkiego dokaże!

Pan Alfred wyróżniał się pomiędzy wszystkimi mężczyznami! *C'est une beauté aristocratique*. Wysoki, przysuchy, z rysami ostromarkowanymi czyni wrażenia prawdziwego markiza albo duka. Wszystkie kobiety za nim patrzyły. Ze swobody ruchów jego widać, że nie ma dla niego salonu, w którymby nie był jak w domu.

Wprawdzie pani Melania mówi, że w Paryżu za wiele hulał i jakieś tam długi zostawił; ale mój Boże! młody człowiek powinien hulać, a trudno znówu o samych bogatych. Zresztą trzeba się jedném kontentować, albo ładném nazwiskiem, albo szkatułą uwiązaną u szyi wołu-dorobkiewicza. Cóż po szkatule jeśli się nie ma legitymacyi w lepsze towarzystwo? Nazwisko Alfreda otworzy Jowicie wszystkie salony, a jakieś tam majątkowe ubytki zapełni posag Jowity.

Sądzę, że to zawsze będzie dla niej partya bardzo świetna!

XLII.

WACŁAW DO STEFANA.

Genewa, — marzec.

Dziękuję ci za przysłaue pieniądze i za wiadomość, że kiedyś żył na świecie sławny malarz Titian, którego obraz przez ciebie skopiowany, przyniósł do mojej kieszeni kilkadziesiąt franków. Jest to zacny, nieoceniony człowiek ten Titian. Zapisałem sobie nazwisko jego do pugilaesu, aby mu zachować wdzięczną pamięć!

Mimo to jednak mam ci udzielić pewną radę praktyczną. Nie smaruj bez potrzeby wiele obrazów, a jeśli jest ci to już potrzebą, tak jak mnie ruleta i nie bardzo artystycznie malowane karty, to nie dawaj ich na targ publiczny, a przynajmniej pod swoim nazwiskiem. Zawsze jest to robota na pieniądze, a taką robotą, wierzaj mi, szkodziś mi w moich stosunkach.

Wiem że się z tém ze mną nie zgodzisz jak zawsze, ale przyjdzie czas, w którym sam poznasz to, ale wtedy będzie już zapóźno. Towarzystwo nasze wyższe nie lubi człowieka, który ręczną pracą na pieniądze zarabia. Wprawdzie piszecie sobie sami komplementa, że jesteście wyższymi nad poziom, obsypujecie się kadzidłem, stawiacie sobie panteony, ale to wszystko nie obowiązuje innych, aby was równą miarą mierzyli!

Za granicą jeszcze to półbiedy, ale nie u nas. W Paryżu talent znakomity może się równać z wysoko urodzonym

lub bankierem na téj podstawie, że kilkoma pracami może przyjść do znakomitego majątku. Malarz, poeta, dramaturg, śpiewak, kompozytor, koncertista, za kilka lat kupują wspaniałe wille, budują pałace, zakładają parki i jeżdżą najpyszniejszymi ekwipażami. Otóż to nadaje im w towarzystwie pozycją i po tém tylko cenią go w szerszych kołach. U nas człowiek talentu, to mniej więcej żebrak, któremu czasem coś się wyświadcza, tytułem jałmużny!

Lepiej więc kręcić światem w inny sposób. Widzisz, że nic nie mam, że żyję z dnia na dzień własnym przemysłem, a przecież nie zamieniałbym się z tobą na twoją pozycją. Umiem oszukać ludzi pozorami, równam się z nimi w życiu i w wydatkach, a to dla nich już dosyć. Gdybym jednak wziął się do jakiej pracy i zażądał od nich zapłaty, jużbym przepadł! A tak nikt nie pyta, jakie jest źródło moich dochodów.

Może to są wyobrażenia niestosowne i niesprawiedliwe, ale tak jest. Honoru twego nie splamią żadne długi, ani gry hazardowne, i za przepuszczenie majątku, ale każda praca odbierze ci rekomendacją do ich towarzystwa: osobliwie kobiety trzymają się tego wyznania wiary.

Jeżeli zaś chcesz twój talent dobrze zużytkować, to ci dam drugą radę.

Gospodarz mój, fabrykant zegarów pejzażowych nie może jeszcze przyjść do siebie z podziwienia twojego talentu. Szkic, który mu darowałaś obudził w jego sferze wielkie zajęcie, a adwersarz jego, zegarmistrz „pod baranem” już dopytywał się o malarza tego widoku. Osobliwie unoszą się nad pożarem, którego na obrazie nie ma, a który każdy widzi gdzieś poza ramami!....

Od czasu twego wyjazdu Szwajcar jest smutny i często zamyślony. Jeszcze smutniejszą jest czarnooka „Mimili,” która od czasu twoich odwiedzin, karmi mnie najsmaczniejszymi, narodowymi potrawami, które, rozumie się własną ręką sporządza. Najmniej trzy razy na dzień mówi o tobie i zawsze przy tém się rumieni. Ojciec wtedy wzdycha i macha ręką jakby odganiał od siebie natrętne marzenia! Czasami mawia do mnie wyraźnie:

— Ten człowiek nie wie co ma w palcach swoich! Gdyby chciał ze mną pracować razem.... nie, źle mówię, ja-

bym u niego pracował, jeżeli mu o to chodzi.... to byśmy na jarmarku w Bernie wszystkich zadziwili naszymi produktami!....

Żart na stronę, ale wartoby o tém pomyśleć. Szwajcar ma majątku przeszło trzykroć sto tysięcy franków. Mimili jest jedynaczką. Po ślubie mógłbyś staremu wyperśwadować, aby warsztat swój zaniechał, majątek zamienić na kapitał i potém swobodnie, bez troski o jutro życia używać. Szwajcarce zostawiłbyś departament kuchni i bielizny!

Pomysł nad tém. Trzeba korzystać z zachwycenia Szwajcara, któremu talent twój spać nie daje!

Za kilka tygodni będę mógł wyjechać.

P. S. Rozumie się że wszystko aż do likwidacyi majątku zatrzymałoby się w sekrecie. Potém wjechawszy na krociach w towarzystwo, wymyśliliłobyśmy jaką genealogią świetniejszą córce zegarmistrza, a starego schowalibyśmy aż za dziesiąty zamek. Mimili umie się ładnie ubrać, osobliwie w święto, i ma dobrą pronuncyacyę francuzką. Więcej jej nie trzeba!

XLIII.

SIOSTRA DO SIOSTRY,

Kwiecień.

Dziwisz się, że kilka tygodni nie pisałam do ciebie. Prawdę mówiąc, nie miałam przedmiotu do listu. Jakkolwiek każdy dzień przynosi coś nowego w zamysłach naszych, jest to jednak zawsze tylko mała cegiełka do pałacu, który dla Jowity wznieść zamierzam. Każda ważniejsza sprawa postępuje zwolna, a wydanie Jowity świetnie za mąż jest dla nas wszystkich, a osobliwie dla twoich córek, bardzo ważną sprawą. Jeden taki pan Alfred jest więcej wart od wszystkich epuzerów razem, całej waszój parafii. On jeden może pociągnąć za sobą równych jemu urodzeniem i pozycją. Stworzenie świetniejszych stosunków dla jakiego domu jest często więcej od głównej wygranej na loteryi!

Ztąd poznasz moja siostro, z jaką uwagą i roztropnością muszę postępować, aby to wielkie dzieło do skutku do-

prowadzić. A praca moja jest tém większą, że z innych stron żadnej nie mam pomocy.

Wiesz dobrze jaką jest Jowita. Uroiła sobie najdziwniejsze mrzonki i teraz poza temi mrzonkami nie chce widzieć. Wprawdzie z każdym dniem rozpadają się te sztuczne tkanki osamotnionego jęj umysłu, ale to postępuje dosyć wolno. Chcąc zaś przyspieszyć, to znaczy wszystko popsuć. Dziwactwo jęj szanować trzeba, jeżeli chcemy ją tam zawieść, gdzieśmy sobie ułożyły.

O panu Alfredzie nic dotąd jęj nie mówiłam i nic jęj powiedzieć nie mogę. Gdyby wiedziała, że ta rzecz jest między nami ułożona, gotowaby ztąd uciec lub pójść do klasztoru. Dziwne ma wyobrażenia o miłości. Najlepiej odmaluję ci to, jeśli ci powtórzę jedną rozmowę jęj z Natalką w tym przedmiocie.

Jest tu niejaka panna Mania, dobra panienka, z dosyć ładnym posażkiem. Matka jęj zaznałomiła się z panią S*** która ma Galicyj krewnego, szukającego właśnie żony. Zaproponowała więc pani S*** sprowadzić tego jegomoście i jeżeli Bóg i Matka Boska Częstochowska pozwolą, skleić małżeństwo.

Natalka opowiedziała to Jowicie.

— Jakto! — zawołała w gniewie Jocia — i Mania na to przystała?

— Dlaczegoż nie miała przystać — odpowiedziała Natalka prostodusznie — nawet bardzo cieszy się z tego!

Jowita uderzyła się ręką w czoło, przebiegła szybko po pokoju i rzekła:

— Nie, albo siebie nie rozumiem, albo was wszystkich nie pojmuję. Jak można tak stać ustawicznie na targu! Więc faktor jaki robi między jedną a drugą stroną interesu!... Skarżymy się że nie mamy u mężczyzn tego szacunku, jaki mieć powinniśmy. Powiadamy, że mają nas za towar czy raczej za listy zastawne, z którychby kupony ucinąć mogli. Panowanie nasze w takim razie kończy się haniebnie, a my podobne jesteśmy do wystawionych sztuk towarów za oknem kupca z przypiętą kartką wartości!

— Zlituj się — zawołała Natalka przestraszona — o jakiejże ty miłości marzysz?

— Wyobrażenie moje o miłości jest nader proste— mówiła nieco spokojniej Jowita. Każda z nas ma pewne pretensye do szczęścia. Szczęście to wyobraża sobie stosownie do swego usposobienia. Jedna marzy o karecie i lokajach galonowych, druga chciałaby z mężem choć raz w życiu być na herbacie u księżnej; trzecia marzy o karmieniu indyków i układa sobie program uczt dorocznych, o których mowionoby w całym sąsiedztwie; czwarta widzi całe szczęście w podróżach poza granicą, a są jeszcze i takie, które chciałaby z jakąś większą korzyścią żyć dla swego społeczeństwa. Otóż każda na drodze swego życia może spotkać to szczęście. Może wybrać z pomiędzy tych, których obaczy, tego, o którym serce i jej powie: oto ten! I pewnie się nie omyli!

Tutaj wstała z krzesła, podniosła głos swój i mówiła dalej:

— Gdyby mi kto powiedział: zaczekaj Jociu, ja ci tu kogoś przyprowadzę, którego możesz sobie wziąć za męża.... jużby z góry wydał na niego wyrok potępiający! — Nie przeczę, gdybym go kiedy bez tego uprzedzenia ujrzała, możeby odpowiednio na mnie sprawił wrażenie, ale zarekomendowany jako taki, straciłby u mnie wszelki urok!.... Serce jest największym despotą, nie pozwoli na to, aby od kogo innego a nie od niego samego wychodziła inicjatywa! Kobieci, które to przyjmują, nie idą za własnem sercem!...

Mam w podejrzeniu Jowitę, że nie mówiła tego bez celu. Być może, że przeczuwa coś z naszych zamiarów i przy tej sposobności objawiła swoje zdanie.

Na to jednak nie zważam wiele. Młode dziewczęta bardzo wiele marzą i mówią, o czém potem z kretesem zapominają. Każdy wiek ma swoje prawa. Ale jest to dla mnie wskazówką, aby z Jowitą jak najostróżniej się obchodzić. Całą sztuką jest nie prowadzić jej wprost do celu, ale tak rzeczy ułożyć, aby sama tam zaszła.

Przedewszystkiém chodzi mi o Alfreda, aby się nie zniechęcił. Otóż cała moja czynność skierowana jest w tę stronę. Byłoby wielkie nieszczęście, gdyby nas ta partya minęła. A głównie mówię to w twoim interesie. Nie łatwa to rzecz dzisiaj ulokować dobrze pięć córek. Podzielony między nie majątek nie da żadnej znaczniejszego posagu.

Trzeba więc ratować się przez koligacye. Przez Jowitę możnaby stworzyć wyborne sytuacye, z którychby wszystkie znaczną korzyść odnieść mogły. Dom marszałkowej, dom prezesa i pana Jaromira w Warszawie, to coś znaczy. W takich ramach mogą panny skutecznie debiutować i znaleźć niepoślednich mężów.

Widzisz sama jak wiele na Jowicie zależy, gdyby tylko rozum miała. Uważaj aby Salcia na podobną drogę nie poszła! Ale spodziewam się, że pan January z tej drogi ją nawróci!

Otóż o Alfreda chodzi mi przedewszystkiém. Wprawdzie potrzebuje on gwałtem posagu, bo jak wiesz, każdy młody człowiek u nas potrzebuje go, a Jowita jest pod tym względem dosyć dobrą dla niego ponętą. Aby jednak ta ponęta nie traciła przy dłuższém czekaniu dla niego uroku, staram się, co jest tylko w moich siłach.

Piérwszém usiłowaniem mojem jest wysunąć Jowitę na przód całego naszego tutejszego towarzystwa. Z powierzchowności podoba się wprawdzie wszystkim i gdzie przyjdzie wszędzie jest królową. Chodzi mi jednak jeszcze o to, aby i pod względem moralnym otoczyć ją świetniejszą atmosferą.

Do tych usiłowań moich składają się nawet same okoliczności. Jest tu między innymi muzyk znakomity, o którym nawet Kurjer w Warszawie pisał, i artysta, który studjuje tutejszą galeryę obrazów. Otóż tych dwóch przyciągnęłam do mego domu i tym sposobem stworzyłam u siebie salon wyższego zakroju. Muzyk chodzi prawie codziennie na obiady, a za to grywa po obiedzie z Jocią na cztery ręce. Im smaczniejszy był obiadek, czy raczej im głodniejszy przyszedł muzyk, tém mniej ma mieć talentu Jocia, jak to zaraz on demonstruje!... Malarz chodzi także i przegląda z uwagą rysunki Joci, która teraz znowu zaczęła rysować. Rozprawiają całemi godzinami o sztuce i o najrozmaitszych rzeczach. Malarz ma wiele wykształcenia i jest bardzo miły człowiek. Osobliwie gdy mówi, wpada w taki dziwny zapał, że obie z Jocią patrzymy na niego jak w tęczę.

Towarzystwo tych ludzi jest wielką korzyścią dla nas. Najprzód nazywają mój salon „akademią,” a potem ludzie ci za obiadek i herbatę, roznoszą po całym mieście naszą sławę

zamiłowanie Jowity do sztuk i t. d. A to zawsze nadaje prawie pewną aureolę. Gdy się zejdziemy na wieczorze, to zawsze mowa o tém, a inne panienki zazdroszczą nam, żeśmy umiały stanąć w pierwszym szeregu.

Przeto jest Jowita pierwszą w tutejszém towarzystwie, a cała młodzież tylko koło niej się grupuje.

Widoczném jest, że to utrzymuje pana Alfreda w powziętym zamiarze. Ale jako człowiek doświadczony nie uderza wprost, ale powoli studjuje Jowitę i stara się do niej zastosować.

Mówiła mi marszałkowa, że dręczy się trochę tém dziwactwem Jowity, ale powiada z drugiej strony, że to właśnie sprawia mu większą satysfakcję, niżeli się spodziewał.

Otóż masz cały obraz moich prac na dzisiaj a planów na jutro!

XLIII.

EDMUND DO ALFREDA.

Paryż. — Kwiecień.

Przysłany prezent oddałem Mlle Coelestin i każe ci za to najuprzejmiej podziękować. Nazywa cię „le prince” i powiada, że przed wszystkimi Anglikami masz w jej sercu zawsze pierwszeństwo.

Ale przy téj sposobności czynię ci tę uwagę, że lepiej może byłoby te pieniądze, za które kupiłeś prezent dla Celestynki, oddać Mr Bernard, bo niegodziwy lichwiarz grozi mi kożą za tę podpisaną za ciebie sumkę. Dlatego radzę ci śpieszyć się z swoimi planami matrymonialnymi, jeżeli chcesz, abym według danego ci przyrzeczenia był twoim družbą. Gdy mnie Mr Bernard weźmie w swoje objęcia, nie będę mógł słowa dotrzymać. Śpiesz się więc, jeszcze raz śpiesz się! Żeniaczka dla nas, to tak jak kąpiel w październiku. Jeżeli odrazu do wody nie skoczysz, to dla zimna wyjdiesz z niej nie kąpiąc się wcale! *Courage mon ami!*

XLIV.

STEFAN DO NIEZNAJOMEGO.

Kwiecien.

Słowa twoje są zawsze dla mnie balsamem. Obawiasz się o mnie i dajesz mi to w sposób dosyć jasny do zrozumienia. Osobliwie milczenie moje długie zaniepokoiło cię.

Otóż najprzód wytłumaczę ci się z mego milczenia. Milczałem, bo nie wiedziałem co i o czém pisać. Nie dlatego, jakoby mi brak było materyi, ale po prostu z téj przyczyny, że jój miałem za wiele.

Mój drogi przyjacielu! Daruj, ale wszystkiego nie umiem a nawet nie mogę ci opisać. Nie mogę iść za tą dziwną wibracją wszystkich strun mojej duszy, bo inaczej cały świat nie ogarnąłby tych ksiąg, któreby napisać potrzeba. A jeszcze może nie opisałbym ci wszystkiego, nie dałbym ci obrazu całej duszy mojej.

Nie wiem na czém w ostatnim moim liście stanąłem, bo od tego czasu zaszło wiele, bardzo wiele.

Z Jowitą jestem tak blisko jak brat z siostrą. Zaprawdę, pokrewieństwo duszy jest między nami tak wielkie, jakbyśmy byli bliźniętami!

Nie możesz sobie wyobrazić co to za wzniosły umysł! To nie jest owa kobieta, która wita cię wdzięcznym uśmiechem, odda ci kilka chwil swego życia, a za godzinę ledwo sobie ciebie przypomi!

Jowita czyni na mnie wrażenie anioła-stróża, którego Bóg zesłał skarżącemu się człowiekowi. Być może, że ten anioł stanie się dla niego niewidzialnym, jednak on wierzy, że jest przy nim, i idzie śmiało!

Z listu twego wnoszę, że chciałbyś dowiedzieć się coś o marzeniach moich, jakie do poznania Jowity nawiązałem. Na to odpowiedzieć ci nie umiem. Może być że ją kocham, ale nie kocham jój dla jakichś widoków, ale kocham ją dla tego, że stała się potrzebą mego życia, że zapełniła w duszy mojej ową próżnię, którą trzymałem dla nieznanego mego ideału!

Dotąd próbowałem wymarzyć sobie taki ideał, do którego jakby do słońca mógłbym patrzeć w ciernistej mojej wędrówce. Ale ideał rozwiewał mi się zawsze jak wszystko to, co wyszło z wyobraźni. Dzisiaj widzę ten ideał żyjący i upojony jestem jego adoracją!...

O tém co dalej będzie, nic nie myślę ani marzę. Mówią, że to jest prawdziwe szczęście, w którym człowiek traci wzrok na przyszłość i słuch na to, co go otacza. Otóż i ja nie mam ani wzroku ani słuchu!

Widzę tylko, że świat stał się wkoło mnie daleko jaśniejszym. Nie mogę minąć żebraka, aby mu nie dać jałmużny, nie mogę słuchać płaczu zagubionej dziewczyny, aby jej nie wziąć za rękę i do rodziców odprowadzić.

Znajomi moi nawet eksploatują to dzisiejsze moje usposobienie. Pożyczają u mnie pieniądze, a ja nie jestem im w stanie odmówić! Nawet katarynkarz zrozumiał mnie i codziennie przychodzi pod moje okno i pewny jest, że to okno się otworzy i grosz srebrny spadnie dla niego!

A teraz mój drogi, pójdź i zajrzyj do mojej pracowni.

Całe ranki do godziny trzeciej pracuję przed sztalugą. Wszystkie szkice moje poschodziły ze strychu i przybierają nową postać. Nie chełpiąc się nie poznaję sam siebie. „Msza w katakumbach” już gotowa! Spodziewam się, że nie będzie przemilczaną na wystawie obrazów w Wiedniu, dokąd ją posłać zamierzam. Nie mówię więcej o niej, bo mi nie wypada, tylko to powiadam: *fini*! A do tego potrzeba było wiele, bardzo wiele! Gdzie się te wszystkie dawne przeszkody podziały, które mnie za każdym pociągiem pędzła napadały? nie wiem!

Wiem tylko, że nowe życie wlała we mnie ta szlachetna kobieta!

Gdy ją na chwilę obaczę, gdy się mnie dotknie tęp dużym, szafirowym okiem, to zdaje mi się że mnie zelektryzowano najsilniejszą baterią. Wystarcza mi to na cały dzień. Czuję przyspieszoną pulsację serca i żyję życiem podwójnym. Nic mi wtedy nie jest niepodobnego, a nawet zdaje mi się, że mogę być wielkim, podobnym do tych, którzy tu obok w „Zwingerze” mieszkają!

Chcesz wiedzieć jaką jest dla mnie Jowita?

Na to odpowiedzieć ci nie umiem. Boję się, abym nie napisał słowa, którego sam jeszcze nigdy nie wymówiłem! A gdybym napisał, możebym nie dobrze jej stosunek do mnie określił.

Ale nie chcę dalej zagłębiać się w metafizykę uczucia, bo to nic nam nie wyjaśni!

W drugim liście opiszę ci niektóre szczególiki.

XLV.

Drezno. — Kwiecień.

Niema u nas nic smutniejszego jak talent na emeryturze. W Niemczech każdy pracownik na tém polu jakoś się pomieści, w Paryżu za owoce prac swoich kupuje sobie na przedmieściu domek i ogródek, w którym sadi drzewka, jakby na małym zagonie ziemi chciał prowadzić dalej tę samą robotę, jaką za lat młodszych na polu ducha wykonywał, a u nas wolno mu umrzeć z głodu lub na barłogu szpitalnym!

Myśli te nasuwa mi zawsze biędny nasz muzyk, który tu jakoś między nami się żywi. W swoim czasie był on niejako znakomitością. Koncerty jego na wiolonczelli wprawiały nieraz w entuzjazm Warszawę, Lwów, Kraków i Poznań. Być może, że serca nasze zanadto życzliwie oceniały grę jego z początku, ale potem wkrótce jakoś wszyscy o nim zapomnieli! Po Warszawie dawał koncerty w Lublinie, Łodzi, Piotrkowie; po Lwowie grywał w Przemyślu, Rzeszowie, Jarosławiu. W końcu i tam już nie szło, poszedł więc zagranicę i czas niejaki grywał w orkiestrze. Teraz ogłuchł na jedno ucho i żyje tutaj między nami z resztki sławy, która mu po lepszych czasach została. Za szklankę herbaty grywa na fortepianie i cieszy się, że go jeszcze ludzie cierpią między sobą!

Przygarnęła go tutaj do siebie ciotka Jowity. Grywa z Jowitą, która wielkie ma dla niego współczucie.

Razu jednego mówiliśmy wiele o nim. Jowita siedziała długi czas zamyślona. Po chwili przesunęła ręką po czole i rzekła:

— Smutek wielki ogarnia mnie, gdy z pewnego punktu patrzę na społeczeństwo nasze! Nie kamieniuje ono, to jest nie zabija kamieniami swoich proroków, ale pozwala im z głodu umierać. Każdy prawie, pierwszorzędny talent odbywa u nas tragedją, jeżeli talent swój w całości oddał społeczeństwu, jeżeli nie z niego nie ujął na poboczny zarobek. Nie potrzebuję tutaj wymieniać nazwisk!

— Nie przeczę temu—odpowiedziałem—ale na pociechę naszą mogę sumiennie twierdzić, że każdy z nich szedł w drogę z całą świadomością tego, co go czekało!

— Tém jest większy!—zawołała Jowita a oczy jęj zabłysnęły dziwnym ogniem.

Patrzałem czas niejaki w tę piękną, wyższą myślą natchnioną twarz.

— Ale to wszystko nie uwalnia społeczeństwa od opieki nad tymi, którzy dla niego pracowali!—dodała po chwili.

— Ale z drugiej strony — zauważyłem—największa krzywda wyrządzona przez społeczeństwo, nie uwalnia wyższego talentu od pracy na drodze obranej...

Jowita zwróciła do mnie twarz rozjaśnioną, podała mi drobną rączkę i rzekła z uśmiechem:

— Jeżeli pan na obranej drodze doznasz kiedy od swoich krzywdy i boleści, to imieniem społeczeństwa przepraszam pana za całą przyszłość!

Słowa te wymówione głosem, który zdradzał łyż pod powieką, tak mnie rozrzewniły, że zapomniałem zwrócić jęj uwagę na to, że mówiłem o *wyższych* talentach, czego przecież do siebie stosować nie mogłem.

Innym razem, gdy było mniejsze zebranie u ciotki, zmuszoną była Jowita zabawiać całe towarzystwo. Był między innymi i pan Alfred, który przez cały czas starał się o to, aby być zawsze przy słowie. Opowiadał więc bardzo wiele rzeczy, a osobliwie przygód, których sam miał być uczestnikiem. Nudziło to nas wielce, ale nie było rady, aby mu przerwać. Nie chciał nikogo do słowa przypuścić. W końcu rozśmiała się Jowita i rzekła:

— Wiesz pan co? Każ pan to wszystko w jakimś piśmie wydrukować. Przygody takie i awantury tajemnicze

przysparzają zazwyczaj pismom abonentów. Miałbyś pan kilka tysięcy czytelników, a tak nie masz pan ani jednego uważnego słuchacza!

— Prawda—odpowiedział z galanterią pan Alfred—ale moja w tém winą, że tego najprzód nie przewidział! Celem każdego opowiadania jest, zaprowadzić słuchacza na miejsce przegód opowiadanych. Mówisz pani, że żaden nie udał się tam ze mną, żaden nie był w téj chwili w Paryżu ani nad Renem.... Nic dziwnego, bo pani tu jesteś!

Jowita ukłoniła się z lekka za wystosowany komplement i rzekła z lekką ironią na ustach:

— Właśnie mogę panu szczerze na to odpowiedzieć: że mnie tu w téj chwili nie było!... Byłam przy ulicy Pragskiej, w sypialnym pokoju pani marszałkowej! Biedna marszałkowa!

Na to wstał szybko pan Alfred a biorąc kapelusz do ręki ozwał się z ujmującym uśmiechem:

— Zawsze jesteś pani dobrą i niezrównaną, czy się uśmiechasz łaskawie, czy łajesz, czy dajesz wreszcie zapomnienie siostrzeńcowi niebaczemu, że stryjenka jego jest chorą! Ale tym razem wszelka winą spada na panią! Z téj samój przyczyny, dla której moi słuchacze nie poszli ze mną nad Ren, nie poszedłem i ja na ulicę Pragską!

— Widzę niestety—odparła z uśmiechem—że dla pana staję się powodem do złego! Jest to znak, abyśmy siebie wzajem unikali! Lepiej szukać takich, dla których możemy być powodem do dobrego!

— *Pardonnez*, bez upomnienia pani byłbym zrobił jeszcze gorzej!—zareplikował niezdekoncertowany pan Alfred.

— A teraz—roześmiała się Jowita—kiedyś się pan nawrócił, to niech pan odłoży jeszcze kapelusz i to wszystko za żart weźmie! Pani marszałkowa ma się wcale lepiej i nie trzeba jęj teraz budzić!

Pan Alfred został jeszcze chwilę ale rozmowa już jakoś nie szła w ład. Przypomnienie mu obowiązku względem chorój stryjenki sprawiło jakieś nieznaczne rozstrojenie. Za chwilę wstaliśmy wszyscy, aby się pożegnać.

Ciotka Jowita żegnała się koleją z wszystkimi. Korzystając z tego zbliżyła się Jowita do mnie i rzekła cichym głosem:

— Niech pan się zatrzyma, jeszcze nie jest późno. Nie chciałabym pod wrażeniem tych czecznych przechwałek iść na spoczynek! Lubię przed snem rozmarzyć umysł czémś lepszym.... aby potem resztę dośnić!...

Tu zatrzymała na chwilę swoje ciemno-szafirowe oczy na moich żrenicach. Zapomniałem o odpowiedzi. Ona też na nią nie czekała, bo wzięła ją sobie wprost z mojej duszy.

Został także i muzyk.

Gdy wszyscy odeszli, wzięła ciotka jakieś pismo ilustrowane do ręki, a Jowita rzuciła się niedbale na sofkę w odległym rogu salonu. Głuchy na jedno ucho muzyk obawiał się w takim razie rozmowy, gdzieby i jemu coś powiedzieć wypadało, więc szybko usiadł przy fortepianie i zaczął nam coś improwizować.

Zrazu słuchaliśmy, czy raczej użyliśmy jego muzyki do naszych marzeń. Potem zostawiliśmy go samego.

Jowita siedziała na sofie głową o poduszki oparta. W oczach do góry wzniesionych odbijało się sześć światła z kandelabru. Zdawało mi się, że widzę niebo szafirowe z jasnymi gwiazdami.... Przysiadłem się do niej:

— Nie uwierzysz pan, jak mnie męczą ci ludzie z temi wiecznie powtarzającemi się frazesami. Szczęściem dla nich, że język francuzki wyrobił sobie tyle próżnych, gładkich, lecz nic nie znaczących frazesów, że można niemi, czyniąc stosowną formulację, odbyć cały wieczór!.... Rozmowa taka wydaje mi się podobną do wichrów w jesieni, które szumią po całych dniach zatrudniając ciągle nasze ucho. Ale gdy przestaną, nic nie wiemy, co nam powiedziały!.... A cóż to dopiero za męka musi być, przeżyć całe życie i nic innego nie słyszeć?

— Życie ma tyle przecież innych rozrywek! — wtrąciłem z ironicznym uśmiechem.

— Czy pan myślisz o tych fraszkach, któremi zapychamy cześć naszych towarzystw?

Jowita wymówiła te słowa z taką intonacją głosu, żem żałował moich kilku słów żartobliwych.

— Nie mogłem wcale myśleć o podobnych fraszkach — odpowiedziałem — osobiście gdy jestem przy pani. Jeżeli zaś co podobnego powiedziałem, niech to pani weźmie na karb mego roztargnienia!

Jowita obeszła mnie okiem z dziwnym uśmiechem, który jakiś smutek wyrażał, a potem rzekła:

— Mówmy o sztuce lub o czémś inném, wyższém od rzeczy ludzkich. Czasami jest dobrze zapomnieć o nas samych!

Gniewał mnie w téj chwili zagorzały meloman, który teraz właśnie dobierał jak najgłośniejszych akordów. Sądząc z lekkiego wzniesienia się bluzki przezroczystej, Jowita westchnęła przy tych słowach....

Serce uderzyło mi żywiej. Nie przerywałem jój jednak tego dziwnego wzruszenia.

— Powiedz mi pan—ozwała się po chwili—czy może nam społeczeństwo dać większe skarby, jak dobrą książkę, dobry obraz, i znakomitą kompozycję? Ręczę panu, że żadne przykazania moralności nie wpoily we mnie więcej lepszych instynktów jak dobra książka, obraz i kompozytca! Po każdym z nich czułam się lepszą i zdolniejszą do dobrego, a miłując to wszystko, marzyłam nieraz o ludziach którzy tworzą te skarby!....

— Pani mówisz o książkach, obrazkach i kompozycjach—czém one właściwie być powinny?—zauważyłem.

Jowita myślała tutaj chwilę, a potem rzekła:

— Sztukę, literaturę i muzykę pojmuję tylko na ich wyżynach. Co jest niżej, to należy do rzemiosła, lub zabawki!.... Są chwile wyjątkowe, w których sztuką ani literaturą bawić się nie można. Trzeba im dać głos owych apokaliptycznych aniołów, aby wstrząsały groby i wydobywały z nich słowa!....

— Przestraszasz mnie pani tak wysokim pojęciem mego zawodu!

— Nie lękaj się pan—odpowiedziała z uśmiechem—może tylko używam słów tak strasznych!.... Ale weźmy przykład jaki. Nie znam w oryginałach obrazów mistrzów francuzkich. Czytałam tylko wiele o nich, a z wielu mam kopię w sztychach. Patrząc jednak w te obrazy, widzimy w ich twórcach apostołów pewnego uczucia. Tak, sztukę pojęli oni jako apostołstwo!... Ich obrazy mówią do patrzących, napawają ich dumą lub grozą!....

Rozkoszowałem patrząc w téj chwili na Jowitę. Zdało mi się, że widziałem jasną aureolę wkoło jój głowy....

Po niejakiem milczeniu, mówiła dalej z wzrokiem w górę podniesionym:

— Weźmy np. Delaroche'a. Szereg jego obrazów, to szereg książek, traktujących nader wymownie historią lub inne prawdy moralne! Czyjaż dusza np. nie zadrży dziwnym uczuciem na widok jego „męczennicy”?... Czyjeż serce nie pozazdrości świętej tej świetlanej obrączki unoszącej się wśród fal spienionych nad jej głową, chociaż ta jasna obrączka tylko śmiercią zdobyta być może?... Przyznaję się panu, że w kopię tego obrazu wpatrywałam się przez całe długie nocne godziny, że spoczywała ona do rana pod moją poduszką, a rano patrzyłam znowu na nią z tém samém dziwnym pragnieniem co wczoraj i wyrzucałam Bogu, że nie pozwolił mi urodzić się w tych wiekach!.... Ta postać kobieca, rzucona z wysokości skały na toń morza.... ta postać była mojem marzeniem!

Wzniosła znowu oczy do góry w sposób prawdziwie czarodziejski, który tylko u niej widziałem!

— A to wszystko zdziałał człowiek Delaroche! Obraz jego przemówił do mnie, i zrozumiałam głos jego! Jako rozkosznie jest umieć tak przemawiać, wstrząsać ludźmi i panować nad ich sercami!....

— Smutek ogarnia mnie — odpowiedziałem — gdy słyszę takie słowa. Pani nakreśliłaś miejsce na wawrzyny dla artysty tak wysoko, że je tylko bardzo mała liczba najwybitniejszych dostać może!

— Czy pan wątpisz o sobie? — zapytała z żywym gestem ręki — wątpić.... wątpić.... tylko kobiecie wolno!.... — do dała cichym szeptem.

Uderzył mnie tu dziwny zwrot mowy. Spojrzałem na nią zadziwiony. Uśmiechnęła się smutno i rzekła:

— Czy to wam tylko wolno jest zakładać sobie wyższe cele? Czyż kobieta nie może sobie również wysokiego celu wytyczyć, dążyć do niego, a po drodze czasem ze znużenia.... powątpiewać?

Patrzałem w oczy mówiącej, aby tam doczytać tego, czego w słowach nie było... w jej oczach widziałem łzy! Szklily się jak dyamenty w sześciu światłach, które z dwóch kandelabrow posyłały im swoje promienie... Usta jej drga-

ły jakby od bólu, a po jój demonicznie pięknej twarzy przesuwaly się jasne błyski jak błędne ogniki!...

Wziąłem jój rękę, aby na nią w odpowiedź tego com widział, złożyć pocałunek.... Wzdrygnęła się, jakby niespodzianie uczuła moje dotknięcie... Nie dopuściła abym rękę podniósł do ust moich, tylko ścisnąwszy mnie rzekła z łagodném wejrzaniem przez łzy:

— Dziękuję panu, żeś mnie obudził z bolesnego snu!

W téj chwili ukończył muzyk najdziksze swoje akordy i przerwał grę. Wstał od fortepianu, a biorąc kapelusz dał mi znak, że już późna godzina!...

XLVI.

SALOMEA DO JOWITY.

Horynin, — maj.

Trzy miesiące nie mam od ciebie ani słowa! Gdyby nie listy od cioci, nie wiedziałabym, że jeszcze żyjesz na świecie! Z listów tych jednak nic się dowiedzieć nie mogę, z téj prostej przyczyny, że ich nie czytam. Mama chowa je starannie do biurka, a nam tylko tyle z nich powie, ile nam potrzeba, aby wiedzieć, żeś zdrowa i dobrze się bawisz. Więcej nic a nic nie wiem, a chociaż czasem zapytam się mamy, to na nic się nie przyda.

Nie sądz jednak, abym była tak niedomyślną i nie pojęła, co znaczyć może po tak częstej i drobiazgowej nawet korespondencji tak nagle i długie milczenie....

Wiem, żeś mnie kochać nie przestała, wiem, że w każdej przyjemnej chwili życia myślisz o mnie, wiem że nawet czasem przedsięweźmiesz sobie napisać do mnie list długi, bardzo długi.... ale na tém też i koniec!

Jakieś dziwne przeczucie mówi mi, że tak jest i że tak być musi! Nie doświadczałam tego na większą skalę i tylko domyślałam się, jak to w takim razie bywa. Zdaje mi się, że się nie łudzę.

Nie mam ci więc za złe drogą Jociu, tego milczenia. Najwięcej mogę ci go zazdrościć. Ubogi zazdrości zawsze bogatemu. A z drugieój znowu strony trzeba być strasznie

bogatym, aby o biednych zupełnie zapomnieć!... W takim razie wspomnienie o nich razi, jak w jasnym świetle słonecznym razi nas każda ciemna chmurka!

Tak jest, jestem w tej chwili ubogą, bardzo ubogą...

Miałaś dobre przecucie, żeś nie była rada, gdy ci wiele mówiła o panu Januarym. Widać, że serce kobiece nie zawsze odgadnie, co znaczą słowa, które im ucho doniesie....

Widziałaś sama moje postępowanie. Nigdy nie wydałam się za więcej, czém jestem. Nie pozowałam nigdy na kobietę wielkich pretensyj, zakres moich marzeń był tylko tak wielki, jak daleko skromną czynnością moją dosięgnąć mogłam! Rodzice moi nie poszli drogą praktykowaną przez innych. Nie robili wystawy zapowiadającej więcej nad to, co jest w samym sklepie. Każdy wiedział o naszym stanie majątku, każdemu opowiadał ojciec o długach, dzisiaj nieodstępnych od każdego mienia.

January mógł więc najprzód wiedzieć kto jestem, i co mu w dom przynieść mogę. Zdaje mi się nawet, że wiedział, i że na to zgadzał się. Słowa jego nie były nigdy dwuznaczne, zachowanie okazywało jasno, do czego zmierza!

A teraz posłuchaj droga Jociu. Przed dwoma tygodniami był u nas January. Mówił mi wiele o ostatecznym uporządkowaniu domu swego. Opowiadał co w nim dla mnie przekształcił, i w czém poszedł za moim gustem. W końcu zapytał mnie do jakiego koloru mam największą sympatyę. Z kamieniem takiego koloru chciał kupić pierścionelek na zaręczyny. Powiedziałam że lubię kolor niebieski, bo ten kolor oznacza przyjaźń stałą i niezachwianą. January ucałował mi rękę, powiedział że o tym kolorze sam myślał i serdecznie się pożegnał.

Na drugi dzień mieliśmy w sąsiedztwie smutny wypadek. Brat panny Sabiny polował z chartami, spadł z konia i zabił się. Całe sąsiedztwo żałowało go i zjechało się na pogrzeb.

January pojechał także. Przy trumnie nieboszczyka przysłała mu do głowy myśl nader praktyczna. Obliczył, że po śmierci brata, Sabina weźmie kiedyś cały majątek. W przyrównaniu do mnie jest ona oczywiście świetną partya.

Zamilkły więc naraz na widok tego rachunku wszystkie wspomnienia serca, wszystkie zaciągnięte i zapisane tam długie zmaszały się za jednym pociągiem.... a kupiony dla mnie pierścień przeznaczony jest dzisiaj dla Sabiny!

Pojmiesz moją boleść, chociaż żalu żadnego nie czuję. Że człowiek taki odemnie się oddalił, nie sprawia mi to żalu po nim, przeciwnie powinno mnie to cieszyć, że tak wcześniej zrzucił maskę.

Ale jak smutno jest mieć takie doświadczenie, że kobieta o tyle ma wartości, o ile w dom męża przynosi pieniądze!...

Droga Jociu, strach mnie bierze, gdy pomyślę o tobie! Jakież to dziwne wyścigi muszą się odbywać około twego posagu? Ileżto gorących afektów, ileż spojrzeń namiętnych spali się w celu ujęcia tego złotego runa!.... A nawet daruj mi, w czarnych godzinach mego smutku wyrывa mi się z ust wykrzyk: jaka ona nieszczęśliwa!

Przecucie jednak moje i milczenie twoje tak długie przekonywa mnie, że ci nie grozi żadne takie niebezpieczeństwo! Widzę że serce twoje ukochało całą potęgę swoją, jeśli dla mnie zamilkło. Widzę, że dni i tygodnie nie mają dla ciebie dosyć godzin, aby choć kilka z nich chwil poświęcić biednej, opuszczonej przyjaciółce! A nawet pamięć twoja zbladła przy rozkosznych obrazach, które cię otaczają a zapisane na niej imię moje stało się nie czytelne!

Nie mówię tego z boleści, nie czynię ci żadnych wyrzutów. Przeciwnie, chcę tylko prosto przyjść do tego twierdzenia, że kochasz, że kochasz całą duszą!...

A jeśli tak jest w istocie, to wierzę że kochasz to, co jest twoich uczuć warte. Po listach twoich, które codziennie odczytuję, nie mogłabyś zejść w inną drogę od tej, którą sobie zakreśliłaś!

A więc przyjmij moje życzenie, obyś była szczęśliwszą odemnie! Jeżeliś znalazła rzeczywiście serce piękne i szlachetne, to trzymaj je dobrze, abyś wraz z niem szczęścia swego nie zatraciła! Szczęście nasze zbyt rzadko zjawia się przed nami, a za to, jeśli czuć złoto, staje przed nami cały legion czarnych duchów, którzy dla złudzenia przybierają na siebie postać aniołów światłości!...

Mama nasza, po doznanym moim zawodzie jest mocno cierpiącą. Do tego ludzie źli nie dają nam pokoju i pod maską przyjaźni napadają dom nasz, pytając się czy to prawda? Ich politowanie w słowach a szydercze uśmiechy na ustach są stokroć boleśniesz niż sama boleść zawodu!...

Choćby dla rozweselenia duszy mojej napisz mi kilka słów, słów obojętnych, a ja z nich będę się starała odczytać szczęście twoje!... Wszak wiesz, jak łatwo jest kobiecie odgadnąć szczęście drugiej kobiety! Przypominasz sobie, jak zawsze trafnie umiałaś na mnie patrzeć, gdy ci nawet z udaną obojętnością mówiła o Januaram?...

Niestety! Dziś to wszystko należy do przeszłości!...

Pamiętaj abyś nie miała żadnej przeszłości, za którą wykręcałyby się oczy twoje!

Z taką przeszłością nie znalazłabyś już nigdzie szczęścia!....

XLVII.

JOWITA DO SALOMEI.

Maj.

Nieszczęście twoje dotknęło mnie boleśnie. Każdy zawód jest nieszczęściem, chociażby tylko dlatego, że nam odbiera to, do czegośmy długiemiś marzeniem przywykli. Pojmuję twój smutek a nawet płakałam odczytawszy twój list, jak gdyby mnie samą jakie nieszczęście spotkało!

Biędną, strasznie biędną istotą jest kobieta. Marzenia nasze podobne są do owych tkanek pajęczych, które późną jesienią wiatr roznosi po świecie. Nie wiedzą one gdzie się uczepią. Jedne w wędrówce swojej zaledwie otrą się o krzak ciernisty, już je krzak pochwyci, obmota w około cierni swoich, i na zawsze przy sobie uwiezi!... Inne wzbijają się wyżej, a unikając cierni i głogów zaczepią się o wysmukły szczyt topoli, gdzie wystawione na wichry i burze rozpadną się na tysiączne części i marnie zaginą!... Ale często trafia się, że wesoły przechodzień czyniąc sobie zabawkę, potarga ich białe pasmo i czepiające się do niego cząstki od siebie zdmuchnie i odrzuci!...

Taki jest los marzeń naszych! Wysyłamy je w świat na los szczęścia nie wiedząc że do nas nigdy nie wrócą!...

Cieszę się tylko, że widzę u ciebie duszę silną, chociaż list twój tchnie wielkim bólem. Któż zresztą odgadnie drogi Opatrzności, jakimi nas prowadzi do wielkich celów swoich? Któż wie, jakie zadanie ma życie nasze? Często zdaje nam się, że idziemy według własnej woli naszej, a my tymczasem jesteśmy tylko narzędziem w ręku Tego, który sprawami świata kieruje!...

Dlatego nie płacz droga Salciu i ufaj, że w życiu naszym nie ma bólesci bez celu, nie ma łez bez widoku nadciągającej pociechy! Może przyjdzie czas, że śmiać się będziemy z tych łez, które w tej chwili wylewamy!..

A teraz... teraz... cóż ci teraz więcej napiszę?

Chcesz, abym ci co o sobie napisała!

O droga Salciu! Twoje słowa budzą mnie.. budzą z jakiegoś snu rozkosznego, z którego ci sprawy zdać nie umiem!.. Po coś mnie tak wcześniej zapytała? Dlaczego gdy śniłam, budzisz mnie?...

Cóż ci powiem, cóż ci powiedzieć mogę? Wiem tylko że serce moje jest pełne, że pulsy moje biją tętnem przyspieszonym, że wielki los mego szczęścia wychylił się już z urny! Ale co mi przyniesie? Nie wiem, a nawet oczy zamykam, aby nie widzieć, bo się czegoś strasznie lękam!... Zbyt wielkiego szczęścia równie obawia się człowiek jak nieszczęścia, a w pośrodku stanąć nie umiem!

Milczenie moje odgadłaś, ale odemnie nic więcej się nie dowiesz! To, co dzisiaj mojem sercem wzrusza, należy jeszcze do mnie. Są w nim głębie, z których światu nie się nie udziela. To są jedyne tajemnice życia, które światło dzienne zabija. Jak fotograf musi niejaki czas w ciemności trzymać wizerunek, nim się z nim do światła odważy, tak samo i serce nie wyjawia tego, co weń dopiero weszło!

Przed nie dawnym czasem, zdawało mi się, że przed tobą nie mogę mieć żadnej tajemnicy. Zdawało mi się, że nawet obowiązana jestem donieść ci o każdym drgnieniu mego serca, zapisać każde poruszenie duszy. Zaczęłam nawet w przeszłych listach moich stenografować ci moje myśli i marzenia, ale urwałam, gdy poznałam w sercu upragnionego gościa!...

Pozwól mi jeszcze zostać z nim dłużej sam na sam, bo mam straszne przeczucie, że takich chwil nie wiele w życiu naszém!... Pozwól mi, że razem z nim otoczę się grubą zasłoną, aby świat nas a my świata nie widzieli!.. Niech prześnię jeszcze przez tę słodką chwilę ułudy, że prócz nas dwójga nie ma nikogo na świecie, nie ma ludzi, nie ma świata!...

Uczułam połowę twego nieszczęścia, gdybyś ty mogła uczuć choć tysiączną cząstkę mego szczęścia!...

Może się gniewasz, że tak mało ci mówię? Droga Salciu, ja jemu także więcéj nie powiedziałam!...

XLVIII.

EDMUND DO ALFREDA.

St. Pelagie.—Maj.

Z napisu miejsca, z którego ten list datuję, wszystkiego się domyślisz. Jestem więc za kratą i to jeszcze w samym początku najpiękniejszej wiosny! Jestem żywą ilustracją poematu Schillera!...

Nie wiem jak strawnego potrzeba na to żołądka, aby swobodnie jeść obiad w hotelu Saskim, chodzić na koncerty do Grosgartenu i wieczorki spędzać u panny Jowity, podczas gdy głupi jakiś tam przyjaciel za zaręczone długi w areszcie siedzi!

A jednak to o tobie powiedzieć mogę. Zaklinałeś się na wszystkich przodków twoich, że najdalej za dwa miesiące zwrócisz pieniądze; mówiłeś, że panna z posagiem już cię niecierpliwie wygląda, że ciocia panny środy i soboty pości na intencją, abyś jak najprędzej pannę zaprowadził do ołtarza, a to wszystko okazuje się teraz tylko czerzą deklamacją! Wyobraź sobie moje okropne położenie. Nachodzą mnie nowe utrapienia, których pierwéj nie znałem. Najszczęśliwszy byłem w ciepłym pokoju, przy zielonym stoliku lub w towarzystwie z tobą i którą z Celestynę!.. A gdy do tego pili się w kieliszku szampan, na talerzu leżał rak morski lub indyk z truflami, nie wiedziałem już nic o świecie a tém mniej o zielonych drzewach, które gdzieś tam rosną albo o śpiewających ptakach które po gałązkach skaczą!

A teraz, jakby na większe utrapienie moje, zmienia się moja natura. Przez kratę więzienną zaczynam wzdychać do wiosny i szukam oczyma choć jednego wróbla, aby nim się ucieszyć.

Z moim towarzyszem mówiłem już przez kilka godzin o wonném, wiejskiém powietrzu, o balsamicznym zapachu ziół i kwiatów polnych, o wschodzącém słońcu, którego jeszcze w życiu nie widziałem.... słowem staję się zupełnie nowym człowiekiem, zgadzającym się z przyrodzonymi prawami bożemi... a tu właśnie w samą chwilę odrodzenia mego sadzają mnie do kozy, gdzie nie mam ani wiosny, ani ptaków leśnych, ani łąk ani kwiatów; nie mówię już o wschodzącém słońcu!... A wszystko to tak mi teraz pachnie!

Jeżeli mnie nie wyrwiesz jak najprędziej z tego przekłętogo domu, w którym odrodzenia mego dokonać nie mogę, to cię przeklnę aż do ostatniego antenata twego, o którym są wieści, że również niewinnych ludzi za długi do kozy wsadzał!

XLIX.

ALFREDDO EDMUNDA.

Maj.

List twój przeraził mnie. Miałem od dawna podejrzenie że nie jesteś czystej, szlachetnej krwi jak naprzykład mój „lord” który mi dwa znaczne premia wygrał.

Jak bowiem można tak gminne gusta objawić, jak jest gust do wiosny, do zielonych drzew i ptaszków na nich śpiewających? Czy to jest wpływ głodu i braku w kieszeni? Cóż ci dać może głupia wiosna, kwiatek polny albo rzecz tak niezdarna, jaką jest wschodzące słońce!...

Uważam to wszystko za przemijający fałszywy apetyt. To są owoce melancholii i pogładliwego żywota za kratą żelazną. Z wolnością rozwieje się to wszystko!

Otóż widzisz, jakiego poświęcenia jestem zdolny dla ciebie, jeśli dla twój wolności moją własną wolność sprzedam. Tak jest, noszę się z nią już od kilku miesięcy a jednak o przybicie targu tak trudno.

Gryzę pióro ze złości, gdy to piszę. Nie uwierzysz ile mi utrapienia sprawia ta głupia sprawa matrymonialna.

Gdybyś był we mnie, pewnie szczęśliwszym czułbyś się za krata, niżeli ja tutaj jestem zając obiad w Saskim hotelu, chodząc po nudnych koncertach niemieckich i spędzając kwaśne wieczory obok panny, wyrokiem Opatrzności i marszałkowej przeznaczonéj mi na przyszłą żonę...

Nic tak bowiem nie boli jak zawód i upokorzenie! Widziałeś mnie w niejednym położeniu życia, byłeś świadkiem nie jednych moich tryumfów! A tutaj nie tylko że żebrać muszę od panny choćby jednego łaskawego słówka, ale nawet muszę łykać dosyć gorzkie pigułki, które mi odmierzoną porcją co godzina zadaje!

A jednak cofnąć się niepodobna. Wiadomości od familii są tego rodzaju, że rzeczy dłużej zwlekać nie można. Jeżeli gmach okazały podpory potrzebuje, to trzeba prędko téj podpory i nie można się oglądać, z jakiego drzewa ona będzie. Chata wieśniaka dłużej może wytrzymać w nachyleniu się, niżeli pałac murowany!

Panna rozwija taktykę dziwnego nabożeństwa. Pozuje w sposób rozmaity, a ja muszę się do tego wszystkiego zastosowywać. Nakazano mi czekać, a zakazano mi dorywczego szturmu. Muszę więc jak cierpliwy patryarcha biblijny wysługiwać się, nie dając ani gestem do poznania do czego dążę. Dotąd jeszcze nie daleko zaszedłem, choć już kilka tomów encyklopedyi przeczytałem!

Wszystko to drażni mnie i gniewa i patrzę na pannę jakby na głównego mego wroga. Są chwile, w których życzyłbym jéj co najgorszego! Płacz jéj byłby dla mnie rozrywką, bolesne spazmy rozkoszą! Zaczynam ją nienawidzić!

Oto jest moja miłość! Oto są marzenia konkurenta!

Mam jeszcze inne udęczenia, ale o tych już zamilczę. Być może, że potrzeba mi będzie rozprawić się...

Widzisz, że po różach tutaj nie chodzę, nie zasypiam pod puchowém skrzydłem amora!

Ale cóż robić! Trzeba zgryść twarde orzech. Sądzę, że to już nie długo potrwa; bądź więc cierpliwy i nie wygadaj się przed nikim że ci tęskno za wiosną, za zielonemi drzewami i śpiewającemi ptaszkami!

Więzienie rodzi wielkich ludzi. Napoleon był także w więzieniu, nim zeszedł dla niego drugi Decembr!

L.

STEFAN DO NIEZNAJOMEGO.

Czerwiec.

Dzięki ci za trzeźwe słowo. Podobne zapytania czasem sam sobie zadaję, ale przyznam ci się, nigdy na nie nie odpowiadam. Unikam nawet pomyśleć nad tém. Nie miéj mi więc tego za złe, jeśli tobie także nie odpowiem.

Jestem podobny do człowieka, którego jakiś dziwny wypadek przeniósł nagle do zaczarowanego pałacu. Wszystko tam jest na jego skinienie, czego tylko dusza zapagnie. Służba odgaduje i wypełnia najskrytsze jego życzenia, zaczarowana królewna powiada mu uprzejmym uśmiechem że jest dla niéj gościem upragnionym. W szczęściu tém swoim niespodziewaném lęka się zapytać, co właśnie z nim się dzieje, bo zapytanie to mogłoby go może rozczarować i szczęścia jego pozbawić. Czeką więc w milczeniu dalszych rzeczy, dalszych wypadków, które może same mu odpowiedzą!..

Otóż i ja czekam w upojeniu mojem jakichś rzeczy dotąd mi nieznanych, czekam wydarzeń czy sposobności, które same z siebie będą zapytaniem i odpowiedzią!

Tymczasem korzystam z dziwnie podwojonego życia we mnie. Gdybyś zajrzał do mojej pracowni, powiedziałbyś, że *szczęście jest produkcyjne*. Ekonomiści mogliby ztąd wziąć asumpt do nowego twierdzenia, że tylko szczęśliwe społeczeństwa są produkcyjne!..

I myślę sobie nieraz, co się stanie, gdyby słońce, które dzisiaj mi przyświeca, kiedyś zająć miało!..

Gdyby nawet i tak się stać miało, z duszy mojej nie odbierze mi nikt tego talizmanu, który tymczasem wrósł we mnie i jak dyament nawet w ciemnościach świecić mi będzie!..

Rembrandt opowiada, że w pierwszych latach swojej młodości doznał wrażenia, które się stało pierwszą podwaliną do tego, co następnie w sztuce zdobył. W rodzinnych stronach jego była grota, przez którą przepływał potok. Światło do téj groty wpadało przez górną szczelinę skały. Razu jednego z swymi towarzyszami wszedł na zabawę do téj groty. W chwili gdy jeden z towarzyszy zrzucałszy

szaty swoje napół nago brodził w potoku, padł przez szczylinę skały na niego promień słoneczny, i na pochylonej postaci jego rozbił się w najdziwniejsze atomy!..

Powiada Rembrandt, że takiego światła i takiego oświetlenia postaci ludzkiej nigdy w życiu nie widział! Łzy puściły mu się z radości, wyciągnął rękę aby to dziwne zjawisko schwycić i utwierdzić, a w tej chwili zmienił promień słoneczny swój kierunek, a zjawisko przepadło!

Rembrandt zatrzymał to zjawisko w duszy, a wrażenie jakiego przy każdym jego wspomnieniu doznawał, wydało następnie tyle arcydzieł!..

Nie bierz tego za wyraz pychy z mojej strony. Chcąc ująć kilkadziesiąt kroków, trzeba tak iść jakby mieli milę do przebycia!

Nie myśl także, aby ostateczną moją pociechą było podobne wspomnienie, jakie miał Rembrandt z tej czarownej groty. Uchowaj Boże! Tak daleko nie zaszedłem na drodze rezygnacyi. Czuję że dzisiejsze uczucie moje wrosło głęboko w duszę i że tylko z wielkim bólem dałoby się od niego oderwać, albo mogłoby ją zabić!..

Ale przejdźmy do jaśniejszych obrazów!

Cała, rozkoszna wiosna zawitała do naszego miasta. Nie znam żadnej stolicy, w którejby wiosna stała na pierwszym planie obrazu wielkomiejskiego, jak to widzieć się daje w stolicy saskiej. Tysiące róż, bzy różnokolorowe, drzewa okryte kwieciami otaczają całe miasto szerokimi pasami zaczawszy od „Burgerwiese” a skończywszy na „Rosengarten” w ogrodzie królewskim!.. Prócz tego z poza każdego parkanu, z poza każdego niższego domku wyglądają konary zielonych drzew, wychylają się korony kwitnących krzaków. Brzegi Elby ubrane w precudne zielone ramy, przedstawiają nam widok jakiejś czarodziejskiej panoramy, która jakby z okrytego walca rozwija się w nieskończoność!..

Takie tło podnosi mówić o życiu utkanem z barw tak złotych, jakie tylko wytworzyć może wielkie szczęście!..

Otóż na tém tle przesuwam się często z Jowitą!..

Prawie co drugi dzień urządzamy wycieczki w okolice. Znasz urok tych okolic, nie będę się kusił je opisywać. Tyle ci tylko powiem, że urok ten zwiększa się w dwójnasób,

gdy na nie patrzą ciemno szafirowe oczy Jowity!.. Zdaje mi się, że wtedy i ja temi oczyma patrzę i przez nie widzę....

Przed tygodniem ułożyliśmy wycieczkę wodą poniżej ogrodu publicznego, zwanego „Linkisches-bad”. Wybraliśmy na to dzień w którym księżyc był w pełni; późnym bowiem wieczorem mieliśmy płynąć napowrót.

Mam ci jeszcze najprzód powiedzieć, że siostrzeniec pani marszałkowej pan Alfred, którego u brata poznałem, od niejakiego czasu coś z pod oka patrzy na mnie. Ma on intencje starać się o rękę Jowity. Słyszałem, że posag panny byłby mu bardzo na rękę. Ale sam widok jego wystarcza, aby mu przepowiedzieć, coby mu odpowiedziała w takim razie Jowita.

Wyobraź sobie człowieka, w trzydziestu latach życia zupełnie już zużytego. Wszystko tam już poszło na szmaty. Nic tam nie ma całego, ani serca, ani duszy, ani sumienia! Poznałem go z kilku rozmów poufających na skróś.

Przypomina on mi zawsze anegdotę o pewnym troskliwym ojcu, który syna chciał wychować na znakomitego dyplomata. Najprzód puścił go w jak najgorsze, najlichsze, najniemorálniejsze towarzystwo. Zapytany o to, odpowiedział: Chcę aby mój syn zawczasu pozbył się tego wszystkiego, co mu w stosunkach z ludźmi zawadzać może. Powinien się pozbyć wszelkich uczuć, namiętności, osobistej ambicji i przedewszystkiem wiary w lepszą stronę ludzi. W takim razie, nie pociągany niczem na boki, pójdzie prostą drogą do celu i zrobi karierę!...

Zdaje mi się że pan Alfred również tą drogą poszedł. Pozbył się wszystkiego jako balastu życia. Została mu tylko pewna ogłada salonowa, zimna krew, na wszystko, i dosyć w licznych doświadczeniach wyćwiczony umysł.

W dyplomacyi może zrobiłby karierę, ale w sprawie z taką kobietą jak Jowita, nie wróże mu szczęścia!

Otóż ten pan Alfred był także z nami. Towarzyszył stryjence swojej pani marszałkowej.

Wzięliśmy dość obszerny bacik, którym z wielką ogłędnością sterowało dwóch sasów.

Romantyczna podróż nasza odbyła się tam bez wszelkich przygód. Płynęliśmy z wolna, bo pod wodę, a rozmowa nasza była tak wielkimi pauzami przerywana, że częściej

słyszeliśmy plusk wioseł padających do wody, niżeli słowa, które jakoś nadzwyczaj skąpo padały. Każdy z nas był czémś rozmarzony, a podróż wodna podniecała te marzenia swoją ciszą i tym ruchem jednostajnym, jaki nadawały naszemu okrętowi napierające fale rzeki.

Jowitę po raz pierwszy widziałem tak spokojną i nieruchomą jak posąg. Siedziała w głębi baciku oparta o poręcz ze wzrokiem przed siebie gdzieś w powietrzu utkwionym. Na wesołe i dowcipne przemówki towarzystwa nie zważała wcale. Ani jeden uśmiech nie przebiegł po jej pięknej, zadumanej twarzy.

Zbliżyłem się i przy nadarzającej się sposobności, zapytałem ją napół żartem o powód tego posągowego spokoju.

— Bawiłam się w tej chwili dziwnym obrazem—odpowiedziała. To spokojne pomykanie się czołna wydało mi się jak spokojne, żadnemi troskami, żadną walką niezmaczone życie. Siedzieć tak spokojnie i czekać gdzie nas fala zanieśnie... A gdy nas jednostajność ta znudzi, sięgnąć wtedy po fraszki i fraszkami bawić się...

Zdziwiło mnie to zdanie z ust Jowity. Sprzeciwiało się ono całej jej naturze. Zapewne spostrzegła zadziwienie moje, bo zaraz potem dodała z niejakiem ożywieniem:

— Cieszę się, że pana zdanie moje zdziwiło. Każdy inny byłby nie przeczył, przeciwnie na ten temat prowadziłby dalej rozmowę... Nie, taki pokój zabiłby mnie. To życie gąsiennicy, która o tyle się tylko po liściu posuwa, o ile jej zeru potrzeba... Takie życie zabija nas wszystkich!..

— Zdaje mi się—odpowiedziałem—że, właśnie na tém czołnie, oprócz dwóch pracujących sasów przedstawiamy w tej chwili takich spokojnych konsumentów!

— Masz pan słuszność—dodała skwapliwie—dlatego owi sasi po skończonej przejażdżce wrócą do domu bogatsi o trzy talary, a my o tyleż uboźsi!

— Czy sądzi pani—zapytałem—że z nas nikt bogatszym z tej wycieczki nie wróci?

Jowita zatrzymała na chwilę swoje ciemno szafirowe oczy na moich żrenicach i uśmiechnęła się boleśnie.

— Być może—odrzekła—a o ile jeden wróci bogatszy, o tyle drugi będzie uboższy!

W tej chwili przez olbrzymie łuki mostu przedarło się zachodzące słońce i oświeciło skrzywioną twarz p. Alfreda, który z chmurą na czole patrzył na nas...

Promienie słońca zniżały się coraz więcej. Przed nami zarysował się już brzeg, cel naszej przejażdżki.

Wysiedliśmy wszyscy. Służący rozłożył się pod lasem z koszem wiktuałów, aby nas nieco posilić.

Zasiedliśmy wkoło na murawie, a rozmowa ożywiła się teraz w dwójnasób. Zdaje się, że poczuwszy ziemię pod nogami, każdy z nas był jakoś więcej panem siebie i swoich myśli.

Krążyły wesołe opowiadania, dowcipy tryskały jak wino szampańskie. Jakoś nikt nie poczuwał się do tego, aby się mógł stać „uboższym”, a wszystkich twarze były ożywione i rozpromienione.

Wesołość towarzystwa zwiększyła się jeszcze, gdy po posiłku duszy pojawił się posiłek ciała....

A ponieważ wszystko ma swój koniec, toż i zabawa nasza sielankowa nachyliła się ku końcowi. Mieliśmy już tylko przed sobą resztki posiłku cielesnego i duchownego, trzeba więc było pomyśleć o powrocie.

Tymczasem księżyc w pełni wytoczył się wspaniały z poza góry i dał hasło do pochodu.

Ruszyliśmy ku Elbie.

Sasi czekali już nas niecierpliwie. Mieli do czynienia z czołnem, bo wraz z księżcem nadszedł niegodziwy wiatr od wschodu i dosyć wysokie fale podnosił na wodzie.

Zaczęliśmy wsiadać.

Meżczyźni wsiadli do czołna najprzód, aby postępującym za nimi kobietom podawać ręce.

Brzeg był bardzo niewygodny do wsiadania. Do tego silne fale kołysały czołnem na wszystkie strony.

Szczęśliwie jednak wsiadły starsze kobiety. Zostały tylko Jowita i panua Natalia.

Jowita jak zawsze tak i teraz lekceważyła niebezpieczeństwo. Zuśmiechem na ustach, niepatrzając nawet pod stopy, ruszyła na przód z taką pewnością i wiarą, jak gdyby mogła suchą nogą przejść przez całą Elbę...

I stanęła jedną nóżką na krawędzi czółna...

Wtój chwili silna fala uderzyła o czółno, które szybko odsunąć się zaczęło od brzegu... Wszyscy krzyknęliśmy z przerażenia... Rzeka w tém miejscu była bardzo głęboka.

Wszystkie ręce jakie tylko były, wyciągnęły się ku zawieszonéj między wodą a niebem Jowicie...

Nie byłem w téj chwili jój najbliższym... inni uprzedzili mnie... osobiwie pan Alfred stał tuż koło niój i rękę swoją trzymał tak blisko jój ręki, że tylko ją ująć potrzebowała.

Nie miałem więc nadziei, abym mógł ją moją ręką dosięgnąć. Stałem więc smutny w ostatnim szeregu, tylko przestach, że Jowicie grozi niebezpieczeństwo, nie pozwolił mi zazdrościć pierwszeństwa panu Alfredowi.

Nieśmiało więc i cały drżący z obawy wyciągnęłem więcej machinalnie moją rękę...

Mimo tak groźnego niebezpieczeństwa stała Jowita kilka chwil spokojnie w tém zawieszeniu. Jój ciemno szafrowe oczy błyszczały tylko jak dwie gwiazdy i gorzały dziwnym płomieniem...

Potoczyła temi oczyma po wszystkich, złożyła usta do smutnego uśmiechu i sięgając po moją rękę rzekła:

— Kto nie śmiało, lecz z taką trwogą o mnie daje mi rękę—ten daje najwięcej!

Tu możesz dalej dosnuć sobie, com uczuł w téj chwili i o czém marzyłem przez całą drogę...

W tém podaniu ręki, w tym gorącym uścisku, było wiele, bardzo wiele.

Zaiste wracałem bogatszy, o wiele bogatszy!.. Czy wracał kto o tyle uboższy?...

Pocziwy księżyc rysował nam na szklistém tle wody najcudniejsze obrazy, ale nikt tych obrazów nie chwalił, nikt nie powiedział o nich ani słowa!...

LI.

Czerwiec.

Szczęście sypie na mnie najpiękniejsze kwiaty!..

Zapewnie z tutejszych dzienników dowiedziałeś się, że obraz mój „msza w katakumbach” sprawił na tutejszój

wystawie nadzwyczaj silne wrażenie. Piszą więc bardzo wiele o mnie i rokuja mi świetną przyszłość!

Ale w téj chwili nie wiele mnie to cieszy. Nie cieszy mnie nawet że jakiś anglik był już u mnie, chcąc za ten obraz dosyć dobrze zapłacić. Najprzód nie należy mi się cała zasługa. Większą część ustępuję memu aniołowi opiekuńczemu, który mnie nowém życiem owionął i tchnął we mnie nowe siły!... Potém radość moja z powodzenia artystowskiego jest obecnie przyćmioną drugą, daleko większą radością.

Z Jowitą zwiedziliśmy razem wystawę. Na wystawie bardzo długo stała przed moim obrazem.

Jest to niezawodnie najwyższą dla twórcy rozkoszą, widzieć kogoś, kto utwór jego do ostatniej linii doskonale pojął i zrozumiał. Wtedy zdaje nam się, że to nie jest obcy człowiek, ale brat nasz rodzony, brat naszój duszy, który zarazem z nami tworzył, razem myślał i marzył!..

Jowita w najdrobniejszych szczegółach pojęła odrazu mój obraz. Twarz jój zagrała żywemi kolorami, oczy trysnęły ogniem, jaki nader rzadko w nich się pojawia...

Wzięła mnie za rękę, ścisnęła serdecznie i rzekła:

— Dziękuję panu!

W tych słowach było wszystko. Twarz jój dokończyła resztę. Malowała się na niej radość, jakby obaczyła to, co nie tylko jój nie rozczarowało, ale nawet jój oczekiwanie przewyższyło. To widać było wyraźnie, bo słowa grzeczne można sklecić i komuś powiedzieć, ale malującego się w głębi duszy wyrazu, nie można udać!

Wiele mówiliśmy o innych obrazach. Jowita jednak wracała zawsze do mego obrazu. Zawsze malowało się na jój twarzy, ile rozkoszy sprawia jój moja kompozycja.

— Tak pojmuję sztukę—rzekła patrząc po raz dziesiąty na obraz—postacie te mówią bardzo wiele do mnie. Na widok ich budzą się w sercu jakieś wyższe, nieznane dotąd uczucia. Któżby np. nie zazdrościł temu spokojowi téj garstki wiernych, która może za godzinę rzuconą będzie lwom i tygrysom na pożarcie? Ci ludzie już w téj chwili są święci! Oni już tą wiarą głęboką zasłużyli sobie na palmę wybranych, a następne ich męczeństwo to tylko mały dodatek do ich żywota, to sucho i krótko opowiedziany epilog!...

Przyznaj, drogi przyjacielu, czém dla mnie jest ta kobieta, która w ten sposób mnie pojmuje?....

LII.

Czerwiec.

Skwapliwie dzielam się z tobą dzisiejszą moją radością.

Od czasu gdyśmy na wystawie obrazów byli, widziałem Jowitę więcej niżeli zwykle zamysloną. Zapytałem ją o powód i odebrałem następującą odpowiedź:

— Myślę nad tém — rzekła z uśmiechem — jak wygląda pracownia artysty, gdy tworzy takie piękne obrazy. Sądzę że cała kompozycja nie rodzi się w jego duszy taką, jaką ostatecznie na płótno przechodzi. Przybiera ona prawdopodobnie powoli kształty swoje, któremi później nas zachwyca. W ciągu pracy grupują się niezawodnie w sposób rozmaity te postacie, zbliżają się, oddalają stosownie do rozkazu mistrza, aż wreszcie powie im: stójcie!.... Otóż chciałabym kiedy obaczyć jakto niektóre kompozycje wyglądają w rzuconym szkicu, gdzie tylko sama myśl się stenografuje... jak wyglądają różne uboczne studia, które potem w całość obrazu wchodzą....

Słuchałem ją z wielką uwagą. W jej oczach jednak było coś, czego dawniej nie widziałem. Zawsze oczy jej nie mówiły więcej nad to, co mówiły słowa. Dzisiaj zaszła w tym stosunku jakaś zmiana. Coś się kryło w tych ciemnoszafirowych oczach, coś tam dziwném światłem drgało, a resztę zdradzał uśmiech napół żartobliwy.

Patrzała tak chwilę na mnie jakby czekała odpowiedzi. Ja wzajem patrzałem w te czarujące, dziwném światłem napełnione oczy, ale nic nie odpowiadałem.

— Pan mi nic na to nie odpowiadasz? — zapytała po chwili z żartobliwym uśmiechem.

— Czekałem, aż pani całą myśl swoją wypowiesz — rzekłem patrząc w jej oczy.

— Pana nie można oszukać! — dodała i zamilkła na chwilę spuściwszy oczy na arabski dywanu.

Po dłuższej pauzie milczenia, podczas której muzyk nasz nadworny kilka akordów zaczął splatać w jakąś fantazyę, podjęła Jowita znowu rozmowę i zapytała:

— Czy pan bierzesz z rzeczywistości modele do swoich obrazów?...

Jéj twarz miała wyraz takiej ciekawości, jakby do mo-jéj odpowiedzi wielką wagę przywiązywała.

— Czy mnie pani chcesz posadzić o jaki plagiat?— ozwał się z uśmiechem.

— O plagiat... nie!—ciągnęła z wolna napół żartobliwie—plagiatu nie chcę panu zarzucić, bo wszelkie możliwe doniesienie mogłoby być fałszywą denuncyacyą!... Więc pozwolisz pan, że najdziemy dzisiaj z ciocią i Natalką pracownię pana, aby zejść artystę na tajemnicach tworzenia...

Jowita mówiła to z żartobliwym uśmiechem zwrócona napół do panny Natalii. Panna Natalia, która wszelkim śmielszym pomysłem Jowity zawsze przyklaskuje, chwyciła ją zaraz za słowo i pobięła z tą propozycyą do cioci. Muzyk uznał także ten projekt za genialny, a że właśnie mieliśmy udać się na przechadzkę, uradzono więc, że piérwéj moją pracownię obejrzą.

Musiąłem zgodzić się na ten zaszczyt nie mały i tyle tylko wyprosiłem sobie łaski, że pozwolono mi wyjść na kilkanaście minut naprzód, aby tymczasem moje szkice w należytém ustawić świetle.

Za pół godziny wprowadził muzyk z tryumfem całe towarzystwo do mo-jéj skromnéj pracowni.

Wiesz drogi przyjacielu, co to jest pracownia artysty u nas. Francuzcy artyści wyposażają swoje pracownie wszystkiém tém, co tylko sztuka i umiejętnie zastosowany luksus zrobić może. Pyszne salony, kunsztowne urządzenie, szyby kryształowe, cenne, sławnych mistrzów obrazy, antyki w meblach i rzeźbach, zwierciadła, słowem królewska wystawa! W takim salonie i sztuka i ten co ją tworzy inaczej się wydają. U nas najznakomitsze nasze obrazy, których zagranica nam zazdrości, powstały w ciemnych izdebkach, bez żadnych pomocniczych środków, któremi rozporządza artysta paryzki!.....

Nie zostawiono mi jednak wiele czasu do porównywania pracowni artystów naszych a zagranicznych. Z ożywio-

ną twarzą, jak myśliwy na upatrzoną zwierzynę wpadła pierwsza Jowita i rzuciła okiem na szkice...

Mówiła wiele i jak zawsze nadzwyczaj trafnie. Cieszyła się jak dziecko, któremu pozwolono rozebrać grający instrument i zajrzeć we wnętrze jego, co tam gra! Dotykała się płótna, brała do ręki pędzle i paletę. Studyowała pojedyncze pociągi pędzla i ołówka i siłała się odgadnąć, do czego to wszystko dąży. Słowem widziała sztukę w chwili gdy się rodzi i powoli do obrazu dorasta. Widziała tajemnice, które składają się na to, co potem sprawia silne wrażenie i admiracyą.

Przeglądając wszystko porządkiem przyszła wreszcie Jowita do blejtramu, który stał na podłodze obrócony malowidłem do ściany. Był to właśnie szkic do obrazu „Przed sądem Nerona.” Obróciłem go naumyślnie do ściany, bo na tym szkicu stojąca przed sędzią Rzymianka miała twarz Jowity z małą odmianą.

— Czy tego obrazu nie możesz nam pan okazać?—zapytała Jowita z figlarnym uśmiechem.

— Jeżeli go tak postawiłem—odparłem—to niech sam odpowie za siebie.

— Czy nie wiesz pan, że tym sposobem zaostrasz naszą ciekawość!—zawołała panna Natalia i szybko pobiegła do obrazu.

Widząc się tak zaatakowanym, wolałem dobrowolnie broń złożyć. Odwróciłem obraz i postawiłem go w lepszym świetle. W kilku słowach wytłumaczyłem myśl tej kompozycji.

Wszyscy prócz Jowity zaczęli mnie obsypywać grzecznymi słowami. Chwalili myśli wykonanie, pojedyncze figury i całkowite wrażenie. Kunsztownie oświetlonej twarzy Jowity nikt nie poznał, jak mi się wydawało.

Jowita tylko nic nie mówiła. Z czołem zmarszczonem przypatrywała się kompozycji i przebiegała wszelkie jej akcesorya. Zmieniała często punkt patrzenia, ale zmarszczki jakiegoś nieukontentowania nie schodziły z jej czoła.

— Kiedy malowałeś pan tę twarz?—zapytała wskazując na twarz Rzymianki.

— Ta twarz—odpowiedziałem—jak pani widzisz, malowana jest w różnych dniach.

— Do czego dążyłeś pan w téj twarzy?

— Aby była podobną do ujrzanéj raz i odtąd w duszy dobrze zapamiętanéj!

Jowity oczy zaiskrzyły się dziwnym ogniem. Rozśmiała się i odparła:

— Widać, żeś ją pan ujrzał oświeconą światłem zimowém, na tle sinego kolorytu dni styczniowych!... Nie oddaje to właśnie dobrze powietrza włoskiego, które jest gorące i tworzy wielkie kontrasty światła i cienia. Rzymiankę musisz pan na nowo przemaalować, trzeba w jéj twarz wlać to, co byś pan śród lata w jéj twarzy mógł widzieć.... Trzeba tę twarz pochwycić w jakiejś wyższej, wyjątkowéj chwili życia.... tak patrzy każda kobieta z terasy na lodowatą Elbę....

— Będę więc niecierpliwie czekał—odpowiedziałem—aż model mój okaże mi się w téj wyższej, wyjątkowéj chwili....

Za te słowa otrzymałem spojrzenie, jakiego nie zapomnę do ostatniej chwili życia!

To spojrzenie obowiązuje już mnie do pewnego kroku, o którym zapewnie w najbliższym liście ci doniosę. Dalej tak pozostać nie mogę.

LIII.

SIOSTRA DO SIOSTRY.

Lipiec.

Niemam dość silnych wyrazów, aby oddać dzisiejsze moje zmartwienie. Nieszczęście, które trapiło Salcię, było dla mnie tak niespodziane, że musiałam wiadomość o niem odchorować. Zaprawdę, jakaś kara Boża ciąży nad naszą rodziną. January był tak pewnym, nieszczęście chce, że brat Sabiny zabija się w wigilią zaręczyn! Nie jestże to istna jakaś zemsta losu? Czyż nie mógł ten wartogłowy jeździec, jeżeli koniecznie chciał kark sobie skrócić, wybrać do tego inną porę? Czy właśnie na tém mu zależało, aby w ten dzień wyprawił całej okolicy tak silną emocję, jaka od czasu do czasu koniecznie spokojnym ludziom jest potrzebna?..

Stało się. Sabina może teraz w ten dzień odprawiać doroczne nabożeństwo dziękczynne, bo bez tego dnia nie miałyby Januarego za męża! Zaprawdę, dziwnie się to wszystko splotło, aby tylko naszej familii coś się oberwało!...

Smutek, wielki smutek kochana siostró, nachodzi serce moje, gdy wszystkie nasze familijne nieszczęścia przychodzą mi przed oczy! Zaledwie dwadzieścia lat minęło, a dom nasz zaczyna się mocno chylić ku upadkowi. Dawna nasza zamożność zniknęła i tylko jeszcze świecą się ostatki! A sąsiedzi nasi, którzy dawniej z taką estymą całą rodzinę otaczali, dzisiaj widząc, że nie zakładamy cukrowni, uchylają się od nas, a idą tam, gdzie są pełne szpichlerze, gdzie wódka stoi w kufach w lamusie, a parowe maszyny wyciskają cukier z buraków!... Co zaś za jedni są ci ludzie, z kąd przyszedli, kto ich rodzi, jakie dygnitarstwa były w ich domu, o to teraz nikt się nie pyta!.. Nasze tradycje, zaszczytne wspomnienia, buławki i buzdługany na nic się nie przydadzą!...

Aż strach bierze pomyśleć o tém, jak nisko świat upadł, w jak nizeczemnym tarza się błocie!... Ludzie nowi, dorobkiewiczowie i spekulanci zajmują nasze miejsca, cisną się i wytrącają nas z domów naszych!

Mój Boże! Gdy sobie nad tém pomyślę, to zdaje mi się, że nadchodzi koniec świata, że Lucyfer założył pośród nas tron swój i rozpoczął owo panowanie, o którym tyle strasznych rzeczy pisze Jan Święty w swojej Apokalipsie!

Jakiż dzisiaj nasze stanowisko? Oto mały Horynin, to cała nasza spuścizna! Na to jest ośm głów a między niemi pięć głów z długimi włosami, którym mężów trzeba szukać!...

Któż w dzisiejszych stosunkach zechce zapukać po pannę, chociażby była piękna jak Juno a mądra jak Minerva? Edukacya, która dawniej wiele znaczyła, dzisiaj jest tylko przeszkodą do pójścia za męża. Mężczyźni lękają się wygórowanego tonu, nabytych nauk, wiadomości języków i muzyki, mówiąc: że to wiele kosztuje! Lękają się ojcowskiego ekwipażu o czterech koniach i lokajów w żółtej liberyi, mówiąc: że to wiele kosztuje! Panna, która w takim otoczeniu się okazuje, powinna, mówią mężczyźni, mieć taki posąg, któryby na to wszystko wystarczył!... Głupcy,

oni nie wiedzą, wiele to taka edukacya pieniędzy pochłonać może! Nie wiedzą, że dama ukształcona w wyższym tonie jest dzisiaj tak rzadkiem zjawiskiem i tak wielkim skarbem, żeby ją złotem ważyć powinni!...

I wyobraź sobie do tych wszystkich zmartwień naszych przychodzi jeszcze cios ostateczny!...

Zadaje go nam Jowita!

Nie chcę ci jeszcze szerzyć o tém pisać, bo sama nie mogę się z tą myślą oswoić, aby to mogło być prawdą!

Jéj nader excentryczne mrzonki wyszły na jaw przy nader smutnym wypadku, o którym później ci napiszę.

Wypadek był okropny, ale okropniejsze to, co się z powodu jego wykryło.

Wyobraź sobie, Jowita uroiła sobie zostać bohaterką romansu! Chciała zawieść ostatnie nasze nadzieje!

Dzięki Bogu, że jest nieco czasu, działać przeciw temu!

(Dokończenie nastąpi).

